

90.



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 1099

WŁADYSLAW MERWIN  
WOJSK POLSKICH

# Z ŻYCIA W LEGIONACH



KRAKÓW 1918.

Nakładem Centr. Biura Wydawnictw N.K.N.



1099

leg. 1470

DR. BERTOLD MERWIN  
PORUCZNIK WOJSK POLSKICH

# Z ŻYCIA W LEGIONACH



KRAKÓW 1918.

---

Nakładem Centr. Biura Wydawnictw N.K.N.



8801



ODBITO W DRUKARNI PAŃSTWOWEJ POD ZARZĄDEM  
— — DEPART. SKARB. N.K.N. w PIOTRKOWIE — —





## WSTĘP

*Książka niniejsza zawiera szkice z życia legionistów II Brygady.*

*Gdy w poprzednich moich publikacjach Legionowych («Legiony w Karpatach» i dwa tomy «Legiony w boju») opisywałem wrażenia przepraw bitewnych, operacji wojennych — to w obecnej książce — z wyjątkiem ustępów «Z walk o Styr» i «Między Styrem a Stochodem» — staram się odtworzyć życie w obozie, przedstawić charakterystyczne momenty obyczajowe i zwyczajowe, zbliżyć psychę żołnierską, urobioną w tak długim stosunkowo przebywaniu w polu, do świadomości społeczeństwa.*

*O bitwach pisano moc; o życiu żołnierza naszego mniej (pomijam utwory beletrystyczne, wysnute jeno z wyobraźni); sądzę więc, że temat obecnej publikacji zdobędzie zainteresowanie czytelników.*

*B. M.*



## Wyjazd II Brygady z Krakowa

30 września 1914 roku\*

Wyjazd z Krakowa! Wyjazd w pole... Komenda Legionów, oba pułki, oba szwadrony, obie baterie, zakłady i oddziały pomocnicze — ruszają w świat daleki...

Żywo przed memi oczyma stoi ten moment. Ileż przeżyć w tych dwunastu miesiącach, jak intensywne wrażenia, jakie ich bogactwo i różnorodność — a jednak każda niemal minuta tych ostatnich dni w Krakowie utrwalona w pamięci, plastycznie przed mem okiem stawa.

Gorączkowa była praca w komendzie Legionów w ostatnich dniach września 1914 roku. W trzech pokojach, przy ulicy Gertrudy 12 wrzało, jak w ulu, od wczesnego ranka po późną noc. Było nas kilku, a praca rosła z dnia na dzień. Na biurku szefa sztabu, kapitana Zagórskiego, piętrzyły się stopy aktów, przez pokój defilowały dziesiątki postaci: to ktoś z Naczelnego Komitetu, to z wyższych władz wojskowych, to komendant batalionu, to intendent i t.d. Obaj pomocnicy szefa sztabu, kapitan Battaglia i porucznik Dzwonkowski, w oblężeniu. Obaj oficerowie ordynansowi, porucznik Krasicki i Brzeziński, w wiecznym ruchu, wiecznych rozjazdach, ciągłym napięciu. A w kancelarii Michał Wyrostek i ja, przy pomocy podoficerów i pisarzy od godz. 7 rano do 12 w nocy w nieustannym poraniu się z lawiną aktów, napływających i ekspedowanych, zasypywani setkami depeesz przyjmowanych i odsyłanych, tysiącem zleceń...

---

\* Napisane w pierwszą rocznicę wyjazdu w pole.



W ciągu jednego miesiąca września trzeba było zorganizować, wedle wszelkich form militarych, to, co w sierpniu było tworem improwizacji, wcielić w ramy organizację pułkową, szwadronową, baterijną, wystarać się o broń, rysz tunek, ekwipunek, stworzyć to wszystko, co niezbędnie konieczne dla walczących, gospodarkę finansową i żywnościową, rachunkowość i prowianturę, służbę sanitarną, telefoniczną i t.d.

Wreszcie moment decydujący, ruszamy w pole! Pamiętam dokładnie chwilę, w której o tem dowiedzieliśmy się.

Dnia 22 września obiegł wszystkie biurka komendy rozkaz szefa sztabu:

»Dziś o godz. 5 po poł. przedstawia się oficerowie komendy Legionów nowemu komendantowi, Ekscelencyi marszałkowi polnemu Durskiemu.«

O godz. 5 staliśmy w półkolu przed komendantem.

Krótko, po żołniersku, załatwił się z nami. Podał rękę, uściśnął szczerze i tchnął w nas wiarę i ufność wzajemnem zaufanie budującą. Dodał jeszcze kilka słów, które odrazu sytuację skryształizowały:

»Panowie — rzekł — wracam z naczelnej komendy armii i zaznaczając, że wiadomość ta jest poufną i do dyskrecyi obowiązuję, informuję, że za kilka dni ruszamy w pole, na Węgry. Tam mamy się wyćwiczyć, ustawić, a potem — potem na Moskala!«

Dowiedzieliśmy się więc o celu wymarszu. Oczywiście nawał prac zwiększył się jeszcze i gorączkowo czyniliśmy przygotowania ostatnie. W trzech pokoikach przy ulicy Gertrudy zawrzało, jak w ulu. To konferencya komendanta i szefa sztabu z Leem, Jaworskim, Sikorskim, to raport Januszajtisa, Wąsowicza, Brzozy i innych komendantów oddziałów, to tysiące zleceń, dyspozycyi starego Wiszka i jego pomocników, to zestawianie porządku jazdy dziewięciu pociągów kolejowych, które miały nas wywieźć, to odprawianie setek suplikantów, natrętników, przeszkadzajłów, to meldunek z Przegorzał, to rozkaz do Wadowic, to transport z Parku krakowskiego, to karta służbowa do Krzysztoforów, to wykaz komendy placu Eydziatowicza, to rezerwat rotmistrza Kunickiego. Siedzieliśmy w kancelaryi po 15 godzin bez przerwy, jadło przynoszono z pobliskiej garkuchni, a około północy dopiero rozchodziliśmy się.

Wreszcie ostatni dzień, ostatnie »exhibity« i ekspedycje — i spakowanie wszystkiego — całej zawartości wrześniowej pracy organizacyjnej — do szeregu skrzyń. Jutro rano na dworcu to-

warowym. Pociąg, uwożący komendę, odjeżdża o godz. 11 przed południem.

---

Wstał cudny dzień jesienny. Przemęczenie i zdenerwowanie spędziło z powiek sen w tej ostatniej nocy, spędzonej w Krakowie. Do późna pisałem, potem spakowawszy zawiniątko próbowałem usnąć. Nie sposób... Ledwo świt — na nogach. Szedłem plantami. Obszedłem je całe.

Unosiły się mgły poranne, a przejmujące zimno nie ustąpiło jeszcze przed wschodzącym słońcem. Miasto spało... Kiedyż je znów zobaczymy? Ilu wróci z tych, którzy je dziś opuszczają?

Na dworcu towarowym zbieramy się już około dziesiątej. Pociąg, uwożący komendę, zabiera z sobą i wszystkie jej pomocnicze instytucje, kompanię sztabową i trzeci szwadron. Jedzie więc rotmistrz żandarmeryi w kilka tygodni potem poległy pod Mołotkowem, Ryszard Kunicki, lekarz sztabowy i szef sanitarny Legionów Dr. Wojciech Rogalski, komendant kompanii sztabowej, porucznik Aleksander Rittner, dwaj delegaci N.K.N., którzy mają nam towarzyszyć w podróży, profesorowie Tokarz i Ptaśnik.

Szereg wagonów stoi na torze. Dokoła nich garstka krenowych i przyjaciół. Na uboczu rozgrywiają się rzewne sceny. Starowina matka znakiem krzyża żegna dorodnego ułana, którego śmiejące się oczy w tej chwili mają perłowy, matowy blask; tu, połykając łzy i siłąc się na spokój stoi ojciec, oparty o łaskę, tam chodzi żona ręką w rękę z mężem, by tych kilka chwil ostatnich z nim spędzić, mieć go przy sobie, u boku, blisko... tam wreszcie wesoła garstka przyjaciół hałasuje, śmieje się...

Tłum przed torem rośnie. Przyszli z miasta wszyscy niemal, którzy byli twórcami dnia 16 sierpnia, wszyscy, którzy w tych ostatnich sześciu tygodniach współdziałali, by zorganizować Legiony.

Zjawia się komendant. Otaczają go oticerowie sztabu. Wpółkole przed nim ustawia się obywatelstwo krakowskie, członkowie Naczelnego Komitetu. Prezydent dr. Leo żegna marszałka Durskiego, poruczając mu imieniem społeczeństwa kwiat młodzieży i życząc zwycięstwa. Krótko Durski odpowiada. Po czynach swe dzieci poznacie! Nie powiedział »pocóż wielu słów?« — ale każdy czuł, że to myśli, że stojąc w przededniu czynu uznał każde kwiecistsze słowo za niepotrzebne.



I rozumieli wszyscy dokoła, że ta krótka scena najlepiej odpowiada nastrojowi chwili. Oracye, festyny, bankiety — potem, po czynie, po zwycięstwie.

Ostre głosy świstawek... Siadać!

Z łoskotem zapadają drzwi wagonów, a prezesowa Jaworska pęki róż rzuca do wagonu komendy. W ślad za tem wykwita nagle przed nami ogród precudnych kwiatów, powietrze napełnia woń róż i rezed, lewkonii i fiołków...

Każdy oburącz ściska symboliczny znak umiłowania, każdy za żołnierską czapkę zatyka gałązkę... a oto tam na torze, jakaś dziewczyna w listowiu kwiatu kryje łzę, która ot, jakoś nie wiadomo dlaczego, potoczyła się po policzkach i spadła na falującą pierś...

Rozlega się chrzęst ruszających z miejsca wagonów. I nagle, długo dławione uczucia wybuchają w słowach pieśni... Z wagonów, w których mieszczą się ułani, wylata: »Jak to na wojence ładnie«, a pieśń, podchwycona przez żołnierzy kompanii piechoty, bucha z poruszającego się już zwolna pociągu w przestwór.

Z toru leci ku nam krzyk: »Niech żyją! Zwyciężajcie!« lecą wiwaty, powiewają chustki w powietrzu, błyskają ruchy rąk, czyniące znaki krzyża... A w te głosy, w te ruchy, w ten korowód posuwający się w dal wpada donośny dźwięk trąbki. To nasz sztabowy trębacz na tony piosnki ułańskiej, na łomot ruszającego pociągu, w krzyczący tłum rzuca smętną melodyę hejnału pożegnania...

Coraz szybciej mknie pociąg. Już tylko jakby przez mgłę widać postacie na torze... już nie słyhać krzyku wiwatów, a widać jeszcze ruch setek rąk... majacząc poczynają kopce i wieżyce... już zlewają się w jedną płaską masę domy... już zatracą się sylweta Maryackiej wieży...

Chłonie nas przestwór...

Wpływamy w zieleń pejzażu, w jasne niebo i ścierniska. Kraków jest tylko na obrazie duszy. Pozostał za nami... Przed nami — Karpaty.

Patrzę w twarz kolegi, z którym dzielę przedział wagonu. Błady jest, błyszczą mu oczy, kurczowo przyciska do twarzy krwawą różę...



## Rok w polu\*)

Zebrało się nas pięciu w ziemiance.

Był gospodarz, pułkownik Januszajtis, przyszedł rowami łącznikowymi z trzeciego pułku podpułkownik Minkiewicz, z artylerii komendant naszej baterii, porucznik Gosiewski, z kawaleryi porucznik Rolecki. Mieliśmy tworzyć »komitet«. Telefonicznie zwołaliśmy się na »posiedzenie«. Więc — urzędujemy!

— Obchód rocznicy wymarszu z Krakowa...

Minkiewicz przyniósł jakąś kartę specjalną okolic, gdzie Roja ze swym pułkiem, jak nas słuchy dochodzą, walczy; Januszajtis pokazuje jakiś cenny dokument, płomiennymi słowy budzący z uspienia tych, co jeszcze nie otrzęśli się; na pryczy leżą rozsypane listy, ten z daleka, relacye, fotografie i artykuły, pierwsza Brygada, czwartacy... Długo toczy się rozmowa o tych wszystkich tak blizkich, a tak dalekich...

— Cóż u diabła, będziemy mówili o naszym obchodzie?

— Przedstaw program obchodu!

— Więc rano nabożeństwo, potem akt hołdu na grobach, potem...

— Wiecie, przeszli Bug!

— Potem zebranie oficerskie w okopach i...

— Rozkaz arcyksięcia Fryderyka. Jest przepiękny; kazałem go zamieścić w odprawie pułkowej...

— I położenie kamienia węgielnego pod księgę pamiątkową II Brygady...

\*) W obchód pierwszej rocznicy wymarszu w pole, urządzony w Rańczy 30 września 1915.

— Wiecie, komendantem 6 szwadronu zostaje...

— Jak też rekrutacja teraz idzie?

— Wieczorem zebranie w komendzie Brygady...

»Komitet« nasłuchuje: świst przeszywa powietrze, rozlega się trzask eksplozyi. Sześć granatów, zarywających się w ziemię niedaleko, odwraca uwagę od »prac obchodowych«.

— Marnie celują. Uwzięli się na ten punkt, ale ani razu mimo to w okopy nie trafili.

Do ziemianki przynoszą czerepy granatów i »zegary«. Poczyna się ożywiona konferencja: jaki kaliber?.. Teraz widać Mochy mają ciężką artylerję... 15 centymetrówki... polowe...

— Więc posiedzenie zamknięte. Nieprawdaż, wszystko ułożone?

— A jużci! — chórem.

— Więc pijcież to wino, przywiezione umyślnie z Czerniowiec. Prawda, że dobre?

A potem, gdy już mroki zgęstniały i począł się koncert nocny ostrzeliwujących się wzajem przed drutami kolczastymi i zasiekami placówek — rozeszliśmy się do kwater.

Wstał dzień 30 września cudny, jak przed rokiem w Krakowie, kiedy to początek jesieni ozłacał liście drzew na plantach, a siny świt unosił się nad wieżycami.

Godnie się dziś na święto legionowe przystroić trzeba, więc wszędy mycie i czyszczenie. Buty wyglancowane, z plecaka świeża bielizna i — kto czem podobnem dysponuje — lepszy mundur, twarze wygolone, włosy zaczesane. Jakoś tak paradnie i odświętnie, jak przed pół rokiem w Kołomyi, na Wielkanoc rano, przed pójściem do kościoła.

Na stoce, tuż opodal cmentarza wioskowego, ołtarz polowy i w czworobok ustawione oddziały. W półkolu stoi komenda Brygady, delegacje gron oficerskich, a przed nimi generał kawaleryi, komendant korpusu, Eksc. Korda. Przyjechał ze swym szefem sztabu, by hołd złożyć pamięci tych, którzy krew i życie złożyli w ofierze... Przywiózł wieniec o barwach narodowych, a teraz stoi przed ołtarzem i wsłuchuje się w dźwięki pieśni polskich, śpiewanych przez chór naszej kawaleryi. Jedyne to nasz dziś gość. Nikt do nas nie przybył... Żadnych tam, w głębi kraju, nie urządzono obchodów, żadnych nabożeństw — i nikt się do nas, na pograniczu besarabskiem trwających, nie odezwał...

Z nikąd echo nie doleciało... Tylko ten generał kawaleryi, Eksc. Korda, który stanąwszy na cmentarzu, pod krzyżem, na którym widnieje biały orzeł, wyrzekł mocne, pamiętne, dobre słowa:

...»Nikt się bardziej nie będzie radował niż ja, gdy ten orzeł, przez półtora wieku więziony, wzleci swobodnie nad polską krainą«...

Powiedział to, wyciągniętą ręką wskazując na biały wizerunek na krzyżu, wobec 60 mogił legionistów, przed grobami Wąsowicza i jego towarzyszy, gdy z okopów dolatywały nas głuche echa strzałów armatnich, nad naszemi głowami szybował w lazurze lotnik rosyjski, a dudnienie jego aparatu tak dziwnie się łączyło z tonami pieśni patryotycznych, wzlatających nad mauzoleum drugiej Brygady, nad tymi 60 wznoszącymi się ku niebu krzyżami...

W południe gromadzimy się w okopach.

Zebranie oficerskie i »bankiet«, bo tak przywykliście obchody połączone z jadłem i napitkiem nazywać.

Nad urządzeniem »sali bankietowej« napracowali się nasi pionierzy legionowi dnia poprzedniego. Po kilku schodach schodzi się do przekopu długiej, a wysokiej kiszki, wzdłuż której biegnie stół ze zbitych desek i rząd ławek. Przejścia tylko tyle, by się precisnąć. By jednak rosyjski obserwator artylerzycki nie był ciekawy, co to za zebranie w przekopie i swej ciekawości nie zaspokoił przesłaniem kilku bomb, — przekop nakryto gałęziami, poprzez które do wnętrza wnika trochę światła.

Tam, w przekopie gromadzi się nas stukilkunastu. Mistrz ceremonii, zapobiegliwy oficer prowiantowy trzeciego pułku, porucznik Przepiliński, nakupił smakołyków co niemiara, trunkowości zacnej multum, więc kiedyśmy się już usadowili, rozpoczęło się zebranie oficerskie.

— Witam Was — poczyna Brygadyer — oficerowie drugiej Brygady. Piękne i zaszczytne dziś święto obchodzicie. Rok będąc w polu, w walce za ideały, za Ojczyznę, spełniacie sen pokoleń, tworzycie przyszłość. Na pomyślność tej przyszłości wznoszę okrzyk: Niech żyją Legiony! Niech żyje druga Brygada!

Staje pułkownik Januszajtis.



Kiedy drżącym ze wzruszenia głosem począł wyliczać tych wszystkich, którzy służbę dla Sprawy okupili życiem, począwszy od Mołotkowa po Rokitnę, od ś.p. rotmistrza Kunickiego do ś.p. rotmistrza Wąsowicza — staliśmy i wiele, wiele postaci przesunęło się przed okiem duszy...

Pułkownik od tych, którzy byli a polegli, przeszedł do tych, którzy z nami byli a żyją i postawił wniosek, byśmy wysłali telegramy, wyrażające nasze przywiązanie i miłość komendantowi Legionów, eksc. Durskiemu, który przed rokiem z nami ruszył w pole, przeżył całą kampanię zimową karpacką, dalej pułkownikowi Zielińskiemu, tej świetlanej postaci w dziejach oręża polskiego, żelaznemu bojownikowi, wsławionemu w Karpatach i Besarabii, wreszcie pułkownikowi Hallerowi, mężowi wielkiemu, który właśnie w chwili dobiegania do końca akcji w której tyle zasług położył, marnym przypadkiem — przez uderzenie automobilu o drzewo przydrożne — powalony został na łożo, co na długie miesiące skazuje tego człowieka czynu na bezczynność...

Potem przeszedł Januszajtis do syntezy rezultatów ostatniego roku walk. Mówił tedy o sukcesach militarnych, o przemianie duszy żołnierskiej, o walorach realnych, wniesionych w generację najmłodszą w tym roku wojny. Dumni jesteśmy — mówił — z tego ostatniego roku, tej nieprzerwanej bitwy na obczyźnie, tego stałego ratowania honoru żołnierza polskiego...

Potem Gosiewski w piękne słowa zbiorowe, nasz nastrój ujął całokształt naszych pragnień, dał obraz naszego życia.

A potem już wartko i rozgłośnie potoczył się dalszy ciąg zebrania.

Z sąsiadującej z nami grupy wojsk przyszło kilku żołnierzy — cyganów i zaprodukowali swe pieśni puszczy; z batalionu kapitana Trojanowskiego przyszła »muzyka«, kilku legionistów grających na instrumentach własnego wyrobu. Była tam skrzynka od nabojów powleczonej kilku strunami — wiolonczela; dwa szrapnelowe puhary, o siebie uderzane — czionele; rurka szklana — flet, fujarka pastusza, bębenek ręczny i t. d.

A w przerwach między »muzyką« i chórem ułanów — mówka, kolejka likieru, dowcipy, rozgwar i śmiech młodych piersi, w norze ziemnej, wśród dolatujących ech salw karabinowych od strony placówek...

— A możebyśmy — mówi naraz Siczek — poszli odwiedzić obserwatora artylerzyckiego i obejść placówki?

— Dobrze!

Idziemy rowami łącznikowymi do zasieków, drutów kolczastych, poprzez pola minowe i stokiem góry...

Przed nami bajeczna panorama... Na poblizkiem wzgórzu rozsiadła się Rokitna. Te same dwa samotne wiatraki, sterczące jak w dzień czerwcowy, w który Wąsowicz ze swą husaryą jakby na skrzydłach ulatywał ku śmierci, te same rowy strzeleckie, z których wówczas groza biła, a u podnóża obu pagórków, między naszymi a rosyjskimi placówkami wątle pasemko strumyka. Tylko się bujna, świeża zieleń czerwcową zapodziała, a na polach sterczą teraz kukurydziane łodygi o zeschniętym listowiu i ugor biegnie hen daleko, w stronę Besarabii...

O sto kroków przed nami rosyjskie placówki. Gołem okiem widać druty kolczaste i leżące za nimi pozycje ziemne wroga...

Ten biały punkt błyszczący, ta biała plama — to płócienna kurtka kozacka, a owe ruszające się punkciki, to rosyjscy żołnierze za linią okopów. Można by na nich krzyknąć. Usłyszeliby...

Ale właśnie dojrzało argusowe oko obserwatora naszego ruchu na linii nieprzyjacielskiej — i zaraz powietrze przesywa grzmot, a na firmamencie różowi się chmurka szrapnela, rozpryskującego się nad okopami rosyjskimi...

W mig punkciki na pozycjach nieprzyjacielskich znikają i zapodział się też gdzieś kozak w białej, płóciennej bluzie...

Gdyśmy z placówek wracali, z »sali bankietowej« dolatywały »hopsasa«, »bumcyk«, tony cygańskiej pieśni, śmiech i hałasy... Szła szeroka zabawa! Dlaczegożby nie? Człęk młody, kipi zdrowiem — a jutro, może już zaśpiewają mu »Śpij kolego«, może złożą jako 61-go z rzędu w mauzoleum wioskowego cmentarza, gdzie pod wieczór zakopaliśmy legionistę Drabika, który na placówce w przeddzień rocznicy swej służby legionowej rążony w głowę, nie doczekał dnia radości...

Więc ci, którzy żyją — cieszą się, piją i śpiewają! Dziś ten w grobie — jutro drugi...

Wieczorem zebraliśmy się w menaży komendy i znów szeroką falą popłynęła wesołość, znów rozgorzały temperamenty, popłynęły wspomnienia.

— A pamiętasz, jakto było pod...

— Że też nie dożył tego...

Byliśmy przez cały dzień sami, wśród swoich, rodzina legionowa — rzucona w daleki zakątek...



## Pismo humorystyczne w okopach

Książka o legionistach nie została dotąd jeszcze napisana. O jego czynach pisano wiele, o nim samym niemal nic.

Zna społeczeństwo dowódców legionowych, zna czyny, bitwy, potyczki, zna dzieje Legionów od Rafajłowej po Czartorysk — ale legionisty nie zna.

Bo i skąd? Wyjechał przed rokiem w pole. Jako student czy rzemieślnik. Handlowiec czy rolnik. Inteligent czy półinteligent. W polu się przeobraził.

Wszyscyśmy ten proces przechodzili. Pierwotnie w każdym z nas było dwóch: profesor i wojskowy, doktor i żołnierz, ślusarz i wojak, rolnik i szeregowiec. Uczony niemiecki określiłby to: »Paralellmensch«. A potem coraz bardziej w mrokach czasu gubił się ten pierwszy, ten inżynier, czy student, czy mechanik — a rósł ten drugi: żołnierz. Dziś gdzieś, jakby za mgławicą schowany jest w Januszajtisie agronom, w Minkiewiczu artysta-malarz, w Siczku mechanik, w Mężynskim prawnik i t.d. Dziś te cechy »cywilnego zawodu« się zapodziały; nie istnieje w nas to, co przecież przez dziesiątki nieraz lat zawodowo się uprawiało. Stało jakby snem...

Cóż mówić o procesie przemian w młodszych, w kilkunastoletnich chłopakach? Ci chłopcy, wzięci wprost z ławy szkolnej czy warsztatu, w tym jednym roku tyle przeżyli! Taki szmat widzieli kraju, miast, wsi, gór, lasów. Widzieli pożary i zgliszczą, widzieli niedolę ludzką i widzieli śmierć, rany, ból i rozpacz. Przeżyli chwile wznioste i radosne, chwile napięcia nerwów, najwyższych uniesień. Przebyli zimę w śniegu, wśród gór, i dru-



gą na piachach i bagnach. Nauczyli się samopomocy i gospodarki żołnierskiej, urzeczywistniającej w zawartości plecaka starą dewizę: *omnia mea mecum porto*.

Więc nic dziwnego, że się przepoczwarzczyli, że z tego zbiorowiska różnych zawodów, stanów, temperamentów utworzył się jeden wspólny typ.

O typie legionisty najmniej pisano, najmniej go społeczeństwo zna. Cóż wy tam wiecie o »bomberaku«, o »relutonie«, o »łaziku«? Widzicie go wtedy, gdy jako ranny, czy chory wraca. Ale wtedy właśnie znów się zmienia, znów staje się tem, czem był przed wojną; przybywszy w głąb kraju jest wyrzucony z tego środowiska, w jakim kilkanaście przebył miesięcy.

Tylko na froncie, w tem środowisku, widzi się powstający typ żołnierza polskiego, tu przychwycić można, jakby na gorącym uczynku to, »*genus proximum*« legionisty i tę »*differentiam specificam*«, jaka legionistę różni od innych żołnierzy i od »cywilów«.

Oto wytłumaczenie, dlaczego rzecz o legionście nie jest jeszcze napisaną. Ci, którzy piszą, opisują czyny. Legionów, bitwy, ale legionisty samego, żołnierza, jakim jest, jakim się wyrobił w ciągu wojny, nie opisują.

Mogliby to uczynić ci, którzy wciąż z legionistą przebywają, mianowicie jego przełożeni. Ale ci nie piszą, ci karbują znaki na karkach wrogów..., ci działają.

A jednak ten właśnie temat jest niezmiernie ponętny.

Snop światła na tę kwestyę rzuca »wydawnictwo«, które się pojawiło w drugiej Brygadzie, »gazeta«, pisana w okopach, gazeta — humorystyczna.

Literatura »polowa« jest dość bogatą. Jeszcze w grudniu 1914 wychodziła poważna gazetka, pisana przez legionistów p.t. »Legionówka« — potem było kilka podobnych prób. Ale klątwą każdego takiego wydawnictwa jest to, że pragnie ono być takim, jakimi są na świecie prawdziwe gazety, pragnie się dostosować do wymogów P. T. Publiczności, kopiować to, czego w polu zrobić nie można bez drukarni, redakcyi, technicznych środków i t. d. To też te pisemka polowe mają dość efemeryczny żywot i dość problematyczną wartość. Rzadko są szczerze, rzadko bezpośrednio, zwykle przez kogoś inspirowane, zwykle słabą są imitacją »prawdziwej« gazety.

Ostatnio jednak, w drugiej Brygadzie garstka »bomberaków« postanowiła zejść z wysokiego koturnu studenckich wypracowań dla »seryo« gazetki — i notować wszystko, co się w okopach dzieje, opisywać życie legionowe, gwoli ucieście własnej i innych. Nie jest to paszkwil ani kądzielnia — jeno pogodny humor ludzi, którzy środowisko swe znają i bezprezencyonalnie opisują. W ten sposób powstała wiązanka wierszy i ustępów prozaicznych, lepiej może malujących duszę legionisty, lepiej odzwierciedlających nastroje, nim władające, lepiej odtwarzających jego myśli i pragnienia — niż niejedna sadząca się na psychologiczną analizę i teoretyzującą rozprawa.

Więc spójrzmy na kilka zdjęć z życia legionisty. Siedzi »reluton« od szeregu tygodni na wojnie pozycyjnej. Młody, rzeźki... Więc buntuje się w nim krew, pręży ciało w pożądaniu erotycznym:

»Wśród huku dział i gradu kul  
Myśl jedna działa jak wrzątek,  
Podnieca żar i budzi ból:  
Ach, mieć tu pluton dziewczątek!  
    Jakże rozkosznie byłoby tu,  
    Jakiż uroczy zakątek,  
Gdyby spełnione rojenia snu  
Dały plutonik dziewczątek...  
    Sercem radosny wstrząsa dreszcz...  
By kilka — tak' na' początek,  
Jako ożywczy, wiosenny deszcz  
Spadło nam w okop — dziewczątek!«

Druga bardzo żywotna kwestya: żołądek. Rzecz oczywista, wojna to nie wybieranie potraw z karty w restauracyi, to nie kapryszenie u mamy. Więc powstaje w gazetce »poema żołądkowe«:

»Rano kawa, wieczór kawa,  
A na obiad są konserwy —  
Taką menaż ludziom dawa  
Kompanii kuchnia bez przerwy.  
    Z linii jesteś czy z rezerwy,  
Warty, roboty bez przerwy,  
Po robocie zaś zgłodniały  
Wyteżasz co tchu pedały.  
    Pogoda czy deszczu strugi  
Po menaż suniesz szmat długi,  
Gdy nagle... zadrgają nerwy  
Na widok, że znów — konserwy!«



Albo iak doskonałą jest satyra na »łapiduchów«, naszych, rzeczywiście doskonałych, pełnych poświęcenia i ducha obywatelskiego — lekarzy! Pod tytułem »Aspiryna« dokuczają im gazetka:

»Jesteś chory? Do lekarza  
Spiesz. Rób tam bolesne miny,  
A ten, jak zwykle się zdarza,  
Da ci proszek — aspiryny.

Masz gorączkę lub wymioty?  
Bo w tem przecież niema winy,  
Że chorujesz od roboty.  
Cóż? Dostaniesz — aspiryny.

Zwichniesz nogę (czyż w okopie  
Nie zdarzają się te rzeczy?)  
Idźże do lekarza chłopie!  
Aspiryną cię wyleczy.

Kurcz żołądka się powtarza,  
Ząb dolega ci nad miarę —  
Otrzymujesz od lekarza  
Aspiryny proszków parę.

Gdy jednak trafi na franta,  
Co choruje... bez przyczyny,  
Daje: miano — symulanta,  
Zamiast proszku aspiryny«.

Lecz satyra nietylko dosięga »prowiantowca«, »łapiducha« i tych wszystkich, którzy zaspakają muszą niedomagania fizyczne żołnierza. Ostrze satyry autorzy skierowują w samego legionistę, jako takiego. I to są psychologicznie najciekawsze zwierzenia. Czytam więc np. w dziale »Ogłoszeń« gazetki takie doskonałe persyflarze samych siebie:

»Młody człowiek, wykształcony, z ukończonym uniwersytetem w Stowżyńcu,\*) mający zapewniony awans na chorążego, poszukuje tą drogą dziewicy młodej i powiewnej, któraby dopomogła mu do uzyskania złotego medalu. W razie uzyskania go ofiaruje swą rękę«.

Nadzwyczaj bystro ujmuje gazetka stosunek legionisty do oficera, żołnierza do przełożonego. Jest np. scena taka. Po wydaniu pierwszego numeru wysłała »redakcja« swego »reportera« do wybitnych osobistości pułku celem »zinterwiewowania« ich w sprawie wrażenia, jakie wywarł pierwszy numer

\*) Miejscowość, w której przez długi czas druga Brygada miała swe — treny.



gazetki. I oto w drugim numerze pojawia się szereg »interviewów«, z których cytuję dwa (zdradzając, że majorem jest Norwid, a kapitanem Zaleski):

»U majora N. Wchodzę, trzymając w rękę numer. Kłaniam się. Groźny wzrok pada na mnie. Bacność!— woła major. Staję w postawie i melduję posłuszenie cel mego przybycia. »Aha—mówi major—dobrze, nieźle, ale... czy rów łącznikowy już wpleciony?« Biorę nogi za pas i wrywam.

U kapitana Z. Z kolei udaję się do komendanta batalionu. Zapewniam sobie bezpieczeństwo osobiste, zwracając się do ordynansa, Janka, o poparcie. Po chwili zostaję wprowadzony przed kapitana. »Niczego, niczego— powiada — byle służba nie ucierpiała. Pozatem jedno małe przeoczenie: w piśmie winny znaleźć miejsce bezwarunkowo... rozkazyienne batalionu«.

Humor w okopach. Pogoda, łagodny uśmiech, nieco kpín, a przytem umiłowanie środowiska i przywiązanie doń.

Tam, w głębi kraju wyobrażacie sobie żołnierza bądź na koturnach, bądź w tych ujemnych objawach, które życie obozowe wyraża. A tymczasem jest to człowiek, u którego »nihil humani alienum«. Gazetka humorystyczna, pisana w okopach, prostuje fałszywe wyobrażenia i dlatego jest cennym przyczynkiem do poznania duszy żołnierskiej.

## Militaryzacja wyobraźni

Wyobraźnia poety militaryzuje się. Jest to objaw naturalny, następstwo gigantycznej wojny. Nie zasługiwałby na miano twórcy artystycznego, ktoby mógł pozostać nieczułym wobec największego z przeżyć, które ludzkość przeszła; nie byłby poetą, ktoby duszę zamknął przed odgłosami wojny.

Więc nie tylko życie doznało zmian pod wpływem wojny, nie tylko myślenie się zmilitaryzowało, niejako przymuszone do pewnych dróg, pewnych kierunków swych funkcji pod obuchem przytłaczających wszystko inne wypadków, pod wpływem zmniejszenia wagi i ważności wszystkiego innego poza wojną — ale zmilitaryzowała się i wyobraźnia.

Literaci nasi, poeci i beletryści coraz częściej i coraz więcej unoszą się wyobraźnią w sferę wojny, coraz częściej wypadki wojenne są tym kiełkiem w duszy artysty, z którego wyrasta twór artystyczny, poemat.

Są oni niejako pod nieodpornym przymusem. Wrażenia obecnej chwili są silniejsze niejednokrotnie, niż ich wola niepoddawania się im. Ich częstokroć poważne uprzedzenia wobec »ekonomicznej wojny«, wobec »techniczno-prozaicznych« tej wojny sposobów, wobec brutalnych objawów i t.d., rozwiewają się pod wpływem wszechobecności tej wojny, niemożności ucieczki przed nią, niepodobieństwa niemyślenia o niej. Gdzie się ruszą, gdzie spojrzą, z kim mówią, co przeczytają — wszędzie wojna i wojna...

Więc zmienia się, zmienić się musi, pod tym wpływem charakter literatury. Zawsze tak było. Po wojnach napoleoń-

skich, po roku 1870. Gdy wyobraźnia Marcelego Prevosta się zmilitaryzowała, to dokonało się to samo w fantazyi Wetleva Lillien-crona. Gdy dzieła braci Margueritte są produktem Sedanu, to znów »Herrenmensch« Nietzschego jest antytezą pogromu Francyi.

Gdy w długotrwałych czasach pokojowych literatura przybiera charakter egocentryczny, to pod wpływem wojen nosi piętno wojskowe, gdy w czasach pokoju poeta nie wychodzi w przeważnej liczbie wypadków poza analizę własnej duszy, poza lubowanie się w rozbieraniu własnych tylko przeżyć, to pod wpływem wojny poczyną się interesować przeżyciami innych.

Literatura pokojowa opisuje walki w duszy poety; literatura wojenna przeciwnie, to co się dzieje zewnątrz niego. Literatura pokojowa unika »rzeczywistości«, ogranicza chętnie zakres twórczości na intymne zajścia duchowe własne, literatura wojenna przeciwnie, odczuwa respekt dla tej rzeczywistości, którą dawniej uważała za płaską, prozaiczną; rzeczywistości, choćby objawiała się w postaci zabłoconego, obrośniętego, jedzącego konserwy żołnierza, która poczyną się stawać wielką, fascynującą.

Nagle militaryzująca się wyobraźnia poety poczyną korzyć się przed — czynem. I dochodzi zwolna do rezultatu, że najwyższym czynem, do którego zdolny jest człowiek, czynem, który go stawia na piedestale i czyni z daleka widocznym — jest rzucić się w odmęt walki.

I tu poczyną się zainteresowanie poety. Jakim jest wtedy człowiek? Jakie nim uczucia władają? Jaką jest psychologia żołnierza? »La psychologie, c'est la partie divine de la guerre«, miał powiedzieć Napoleon I. Bitwa jest terenem nie tylko walk fizycznych, lecz również najgłębszych problemów psychicznych. To nęci poetę, to pobudza jego wyobraźnię.

Dlatego też każda wielka wojna jest punktem wyjścia nowego okresu literatury, przemiany poetycznej nie tylko pod względem tematowym, lecz również psychicznym. Wojna nie tylko czyści atmosferę z miazmatów politycznych, socjalnych lecz również i literackich.

Lecz między wyobraźnią poety a nowoczesną wojną są — druty kolczaste, rowy strzeleckie ziemianki, manlichery, szybkostrzelne armaty, miotacze min, karabiny maszynowe.

I w tem trudność, w tem przyczyna niedomagań literatury wojennej.



Trzeba tu uczynić ważną dystynkcyę. Są tacy, którzy nowoczesną wojnę opisują z przeżyć własnych, z autopsyi—i tacy, którzy ją widzą jeno w swej wyobraźni.

Z góry wykluczam typ trzeci: sprawozdawcę, gdyż ten a priori przystępuje do opisu z celami praktycznymi, konkretnymi, realizującymi się codzień, w każdym numerze dziennika czy pisma, w którym zaspokoić się zobowiązał głód ciekawości.

Ale mam na myśli tych, którzy tworząc, mają wrażenie, że czynią to sub specie aeternitatis, tych, którzy pisać nie muszą, a których do tego zmusza siła samej wojny, wielkość wypadków, napór wrażeń na duszę.

Z tych jedni wojnę »widzieli«, drudzy tylko wyobrażają sobie. Pierwsi, na kanwie swej wyobraźni tkają deseń z nitek, których gatunek, barwa, skład i t.p. są im znane — drudzy nitki te dopiero sobie dobrać i zabarwić muszą. Pierwsi przewartościowują w swej duszy materiał, dany im przez spostrzeżenia i wrażenia — drudzy tych spostrzeżeń i bezpośrednich wrażeń są pozbawieni i to utrudnia im bezpośrednio akt twórczy, ową ciężką drogę od chwili zapłodnienia wyobraźni do chwili skryształizowania w formie wiersza czy noweli.

By rzecz konkretnie przedstawić, np. weźmy autorów jak legioniści Józef Mączka, Andrzej Teslar z jednej strony, a Henryk Zbierzchowski, Artur Schröder i t.d. z drugiej strony.

Mączka czy Teslar widzieli wojnę. Ich wzlot wyobraźni przedarł się przez okopy i ziemianki, ich percepcya wzbogaciła się o wiedzę nowoczesnego wojowania, ich zmysły oswoiły się z hukami armat, z widokiem tyraliery, z tą całą masą fizycznych wrażeń, które na wojnie się przyjmuje. To też ich fantazyja ulatuje wprost z tego podłoża, wprost o nie się opiera, z niego ma punkt wyjścia. Ba, co więcej, ich ta bezpośredniość wrażeń uczyniła — poetami. Znam przypadkowo — bo byłem tego świadkiem — jak ci ludzie w polu stawali się poetami. Mączka przed wojną pisał chyba do albumu kuzynki, a Teslar serdecznie słabe wiersze. Ale w Karpatach, wśród przeżyć wojennych, w tyralierze, na patrolach — dusze ich przechodziły proces od prozy ku poezyi, od skonstatowania faktu do przetworzenia go w wyobraźni, od mgławicy wrażeń do krystalizacji ich w formie poetycznej.

Inaczej z tymi, którzy tych bezpośrednich wrażeń nie zaznali. Ich fantazyja równie silnie na temat »wojna« reaguje, równie

wysoko, a może nawet wyżej, ulatuje — lecz brak im tej »wiedzy«, tych konkretnych danych, tej bezpośredniości, którą mają ci, którzy znają wojnę z autopsyi.

Więc cóż się dzieje? Ci poeci ulegają pokusie oparcia wzlotu swej fantazyi o gotowe już szematy wojenne, a reminiscencye literackie z dawnych wojen, o zastosowanie gotowych klisz do swego tworzywa. Ułatwiają sobie oni proces tworzenia, biorąc gotowe wzory wojny, dając swym opisom stereotypowy wygląd bitwy — a zabarwiając go tylko siłą swego własnego odczucia. W ten sposób powstaje w »Hinterlandzie« literatura wojenna, która jednak snadnie mogłaby być powstać sto lat temu, czy pięćdziesiąt lat temu.

N. p. atak na Rokitnę, szarża naszych ułanów, w koncepcyi szeregu poetów, którzy się o jej odtworzenie pokusili — czyż nosi znamiona obecnych czasów, tego napięcia siły, jakim było wzięcie poczwórnych okopów wśród skombinowanego ognia karabinów repetierowych, karabinów maszynowych i szrapnelowych pocisków?

Porównywano czyn Wąsowicza z czynem Koziętulskiego; Rokitnę z Somosierrą. Słusznie! O ile chodzi o wielkość bohaterstwa. Lecz jeśli chodzi o zobrazowanie obu czynów — toć przecie są ogromne różnice, wynikające choćby z tych zmian wojowania, jakie w ciągu ostatnich stu lat zaszły.

Opisywać Rokitnę temi samymi akcesoryami co Somosierrę — to znaczy posługiwać się starymi szematami, kopiować klisze, a nie tworzyć.

Więc jeśli n.p. fantazyja jednego poety, zdala od terenu wojny piszącego, słyszy na terenie bojowym »pobudkę«, widzi »złote rogi«, a wyobraźnia innego poety widzi »białe pióropusze« i t.d. — dowodzi to, iż wyobraźnia ich w obecnej wojnie niczem się nie wzbogaciła, a tylko pracą twórczą niepomiernie sobie ułatwiła sięgnięciem do archiwum słownictwa wojennego z przed wielu, wielu lat...

Lecz nietylko o zobrazowanie, o zewnętrzne akcesorya, tu chodzi.

Również i ton uczuciowy tych poetów skierowuje się w fałszywą zupełnie stronę. Czytałem setki takich wierszy, powstałych w głębi kraju i stale napotykałem jeden dominujący rys: zamiast uczuciowości — sentymentalizm, zamiast przejawu siły — roztkliwienie.

Zrozumiałe to jeszcze u wielu poetyzujących kobiet. Pojmuję jeszcze uczucia Wandy Krzyżanowskiej w wierszu »W szpitalu«:



»Pragnę, by moje nikłe ręce  
 Świetlistym kładły się płomieniem  
 Na ciemnej waszej, gorzkiej męce,  
 Dusze osnuły rozmarzeniem.  
 Pragnę wśród nocy stać wam białą  
 Strażniczką jakąś — z krain ducha,  
 Skądby płynęła falą całą  
 Słodycz wam jakaś i otucha.«

— bo pisała to kobieta i temat ostatecznie do tego roz-  
 tkliwienia dał sposobność: szpital... ranny...

Choć i tu, gdyby autorka zastanowiła się nad psychologią  
 rannego żołnierza, nad tym nagłym wzrostem egoizmu, tem prze-  
 jawieniem się popędu samozachowawczego i tą równocześnie  
 zawziętością, tem poprzysiężeniem odwetu za ból własny — to  
 zapewne ton uczuciowy jej poematu byłby inny, a w wierszu  
 słowo »otucha« i imputowanie rannemu »ciemnej męki« — jemu,  
 który właśnie, gdy został ranny całkiem jasno na sprawę pa-  
 trzył, a właśnie, gdy szedł do ataku, znajdował się w podnie-  
 ceniu bitewnem i najmniej może wtej chwili nie miał uświadomienia — te pojęcia zgoła nie byłyby się znalazły.

Albo weźmy inny przykład zupełnie fałszywego tonu uczu-  
 ciowego, zupełnego niezrozumienia chwili i jej zawartości uczu-  
 ciowej. »Pogrzeb Wąsowicza«. Iluż go opisywało! Ślicznie na-  
 pisał to Zbierzchowski. Przepiękny wiersz, ale... przeczytajcie  
 ten ustęp:

»Jeno jak łaska Boża  
 Zakwitła w łunach zorza,  
 Jeno pokłonił się w pas  
 Odwieczny stary las,  
 Jeno na znak zaklęcia,  
 Pośród szumiącej łąki,  
 Na jeden moment krótki,  
 Siostrzyczki — niezabudki,  
 Braciszki — polne dzwonki,  
 Chcąc swój okazać żal  
 Padły sobie w objęcia,  
 A wśród błędnego szaliru,  
 Gdzie opalowa dał,  
 Płakały chóry aniołków...«

Czyż groza tej chwili, w której w 15 dołów złożono ciała,  
 15 bohaterów, nie została tu utopioną w sadzawcę taniego sen-  
 tymentalizmu? Czyż te »siostrzyczki« i »braciszki« — kwiateczki,  
 ten »stary las«, którego byśmy na pograniczu Besarabii próżno  
 szukali, a który wzięty jest z rekwizytorni melodramatycznej



te »płaczące chóry« aniołków, doskonałe w epitatium podlotka, a nie rotmistrza Zbigniewa Wąsowicza i jego towarzyszy cwału w śmierć — czyż ten cały aparat, jaki rozwija poeta, odtwarza chwilę?

Czyż nie był większym poetą od pana Zbierzchowskiego chorąży Stanisław Sokołowski, który w kilku słowach, wypowiedzianych na cmentarzu (»Pokłon tym, którzy okazali światu, że Polak wykona każdy rozkaz, choćby go życiem miał przypłacić«), odtworzył i ton uczuciowy i ten hart, jaki na cmentarzu w Rarańczy przeżył się w obecnych i tę siłę ducha, którą wykazali i ci, którzy szarżowali, i ci, którzy na groby rzucali grudy ziemi...

Bo zaprawdę nietylko scena na cmentarzu w Rarańczy inaczej się rozgrywała (za to jednak poeta nie odpowiada i tem krępować się nie musi) — ale poezya tej sceny wykazywała i inny ton, i inne napięcie, i inną wartość gatunkową (co już poe­te­ obowiązuje).

Wiele pisze się w głębi kraju o wojnie. To zrozumiałe. Fantazya coraz bardziej się militaryzuje.

Lecz poeta tej wojny dopiero przyjdzie.

Na razie są tylko — wiersze.

## Ordynansi

Zwie się »Fuchs«. Jest to mały brukotłuczek wiedeńskiego przedmieścia, taki sobie wyrostek, co to ma jeszcze za długie ręce i za długie nogi i nigdy nie wie, co z temi wystającymi kończynami zrobić, gdzie je podziać. Są chłopcy, którzy nie mają fizyognomii. Zwłaszcza gdy mają kilkanaście lat. Fuchs ma już fizygnomię. Tę z »Kikeriki« lub »Fliegende Blätter«. Tak malują karykaturzyści żołnierzyków w Abderze. Pocułowata gęba, pokryta piegami i rudawym meszkiem, wylupiaste oczy, pękaty nos i rozmierzwioną czuprynę. Czapkę nasuwa stale aż po rzęsy, co silniej jeszcze podkreśla grube rysy twarzy.

»Fuchsa« dostałem w taki sposób: Przenosimy się koleją wskutek translokacji wojsk naszych na inny teren operacyjny. Późna noc; nie mogę spać... Przespaceruję się po platformie wagonu... Potykam się: coś leży. Skierowuję światelko lampki elektrycznej. Skulony leży żołnierz i przeraźliwie chrapie... Rano pytam: co ty tu robisz? Nie mógł z siebie głosu wydobyć: miał okrutną chrypkę, paskudnie był przeziębiony. Dałem mu gorącej herbaty. Spojrzał mi psio wiernym wzrokiem w oczy i — więcej się już ode mnie nie odczepił...

Zwolna »Fuchs« przejawiał wszystkie swe zalety. Jedną z głównych jest: »Fuchs« wszystko zawsze ma. Jesteśmy w obskurnej, do szczytu wyjedzonej wioszczynie górskiej. Wody pić nie wolno. Nieczysta, rzeczna, choleryczna. Mam straszne pragnienie: »Fuchs! Ein Glaser Wasser!« Ciekaw jestem, skąd »Fuchs« weźmie dla mnie wody do picia?... Po chwili stoi na mym



stole flaszka — wody mineralnej... Alboż wiem, skąd ją wytrzasnął? Potrzebowałem na gwałt kłódki, celem zamknięcia skrzyni z ważnymi aktami. Skąd wziąć na szczytach Karpat, na 50-tym kilometrze linii etapowej, kłódkę? »Fuchs!« Znikł na pół godziny — i położył przede mną doskonałą wertheimowską kłódkę... Wieczorem zwłaszcza wydaje się, że »Fuchs« ma dostęp do magazynów sezamowych.

Plecak »Fuchsa« jest czemś, przed czem mam ogromny respekt. Małe zawiniątko, w którym się mieści — wszystko. Szczotki do czyszczenia butów i rezerwowe puszkę konserw mięsnych, papier listowy i kawał sera ementalskiego. A są ponadto pokłady w tym plecaku, do których nigdy nie zdołałem dotrzeć... Z tych to czeluści wydobywa »Fuchs« czasem słoik konfitury, czasem pakiet patronów rewolwerowych, a czasem: nowiusieńki sweater...

Pigułeczka. Ordynans porucznika R. Są ludzie, którzy mają imię i nazwisko; są tacy, którzy mają tylko imię lub tylko nazwisko. »Ignac« pana kapitana Z. ma tylko imię, Pigułeczka tylko nazwisko. Mam wrażenie, że kapitan Z. sam nie wie, jak się Ignac z nazwiska pisze; a gdyby porucznika R. o imię Pigułeczki zapytać, byłby w wielkim kłopotcie. Bo Pigułeczka to tylko Pigułeczka.

Pigułeczka wcale nie wygląda jak okrągła pigułka. Raczej — lecz jeśli chodzi o aptekarskie porównanie — jak słoiczek na ladzie. Bo Pigułeczka to elegant. Ma krótko przyszczyżone włosy, zawsze wymytą buzię — i kołnierzyk biały na szyi. Oh, ten kołnierzyk! Ten nakrochmalony, lśniący, biały pasek nad bluzą Pigułeczki — to tytuł jego specjalnej sławy wśród gromadki ordynansów. A jak dumny jest Pigułeczka ze swego kołnierza! I jak każe się respektować, jak tyranizuje innych ordynansów tą wyższością, jaką mu daje — biały, prasowany kołnierzyk...

Pozatem Pigułeczka ma jedną wielką zaletę i jedną wielką wadę. Zaletą Pigułeczki jest, iż wiele wie i widzi, a jest... głuchy i ślepy. Wzięty na spytki udaje głupiego i prócz głupkowatego chichotu, ani głosu z siebie nie wydaje. On — najnieliryczniejszy tenor między ordynansami! Bo to właśnie jest wadą Pigułeczki: śpiew! Pigułeczka wiecznie śpiewa. Głosem rzechotu żab, a z temperameutem bayreutowskiego Siegfrieda.



Miałem szczęście influenzować przez dwa dni w pokoju tuż obok śpiewającego Piguleczki. Czuję, że wraz z każdą piosenką, wyśpiewaną przez Piguleczkę, moja temperatura podnosi się o jedną dziesiątą stopnia. Zasnąłem majacząc... Pewnie miałem przeszło 40 stopni gorączki, a to wszystko sprawił swym śpiewem Piguleczka...

Ignac pana kapitana jest to globetrotter, włóczykij, znawca świata i obyczajów, powaga wśród ordynansów. Pracował w kopalniach w Westfalii, zsypywał węgiel do pieca okrętu transatlantyckiego, czyścił talerze w poznańskiej restauracji, przemierzył jako robotnik sezonowy, idąc »na saksy«, szmat świata...

Ignac jest też poliglotą wśród ordynansów. Nie sposób przed nim użyć cudzego języka. Bo Ignac z każdego coś liźnął, każdy potrosze zna. I dlatego Ignac należy do typu »niebezpiecznej« służby. A jednak, mimo to najbezpieczniej oddać swe dobro cielesne, swe potrzeby życiowe jemu właśnie w pieczę. Bo Ignac to przewidujący ordynans. Rozróżnił ongi Machiavelli trzy rodzaje ludzi: tych, którzy sami poznają prawdę, tych, którzy ją poznają, gdy się ją im wskaże i tych, którzy są niezdolni do poznania prawdy. Jeśli to rozgatunkowanie ludzkości zastosujemy do sfery działania ordynansa oficerskiego, to Ignac należy do pierwszego rodzaju. On sam poznaje »prawdę«. Jemu nie trzeba dopiero wskazywać, czego oficer potrzebuje. Razu pewnego spotykam Ignaca, człapiącego na koniu wzdłuż linii etapowej z junacką brawurą i zuchowatością. Twarz mu się śmieje, oczy błyszczą. »Ignac, skąd ta radość?« — pytam. »A to pan kapitan będzie miał frajdę, oh nic nie wie, że ja mu kupiłem nową szczoteczkę do zębów. Stara się starła. A ja mu jutro obok misy z wodą położę nową szczoteczkę!« I poczłapał dalej... szczęśliw, że — pan kapitan będzie miał »fraidę«.

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby Ignac żył tylko dla innych i abnegował z własnych przeżyć. Przeciwnie! Ignac żyje bardzo intensywnym życiem własnym, które kulminuje »in eroticis«. Ignac jest donżuanem, między ordynansami największym konsumentem cnoty wśród służby płci żeńskiej. Ilekroć zmieniamy miejsce pobytu i kwaterujemy się na nowo w jakiejś miejscowości, to zawsze jakoś tak wypada, że tam, gdzie Ignac służbę swą pełni, zawsze czuć w powietrzu obecność spiżarnianych i kuchennych Dulcynei. Wtedy Ignac pnie się z nieba do nieba... Wtedy Ignac jest stale niewyspany i taki jakoś rozmazony, roztrzepany... O, bo Ignac ma śliczny owal twarzy, fa-

scynującą smagłą cerę i błyszczące, czarne jak węgiel oczy. I niema takiej pokojóweczki w miasteczku, takiej dziewczki do podoju na wsi, któraby na te czary mogła pozostać obojętną...

---

Kuba Pałka nie ma fizyognomii, nie ma twarzy, ale ma postawę. Jest to chłop mazurski, czworograniastą bryłą, w miarę prosta, a w miarę ociążała. Nie znam człowieka, u którego imię tak harmonizowałoby z nazwiskiem, jak u tego człowieka. Kuba—Pałka, Pałka—Kuba.

— Kuba, dlaczego w piecu nie zapalono?

— Eee, bo...

— Ile razy należy przypominać, że pod wieczór trzeba zapalić?

Czuje, co mu się na usta cisnie, a czego nie śmie powiedzieć: »zapomniałem...«

— Oj, ty pało, z ciebie już nigdy nie będą ludzie!

Bo Kuba jest przeraźliwie głupi... Ale też niezwykle—wierny. Może dla tego, że taki głupi... Ilekroć wejdę do izby, w której kwateruje pan Kuby, tylekroć widzę, jak Kuba stoi i mierzy swym nijakim, szarym wzrokiem rzeczy swego pana, z tą biernością i beztemperamentową wytrwałością, jaka jest istotą jego natury.

I dlatego Kuba ma najwięcej roboty wśród wszystkich ordynansów. On robi za wszystkich. W pokoją śpią trzech oficerowie. Kuba sprząta dla wszystkich, przynosi wodę dla wszystkich. Koledzy jego idą się zabawić, rozerwać, pofiglować — on tępy swym wzrokiem musztruje: a jeszcze cholewy nie »wyglancowane«, a jeszcze neceser nie »wypucowany«, a jeszcze kuferek nie w porządku. I bierze się do »wyglancowania« cholew; zaś o »wypucowaniu« necesera i uporządkowaniu kufarka — zapomina...

---

Było to podczas bitwy pod Mołotkowem. Walka dochodziła do kulminacyjnego punktu. Jedno ze skrzydeł naszego frontu stało pod morderczym ogniem nieprzyjacielskich armat i karabinów maszynowych. Przychodzi meldunek: skrzydło zachwiało się...

Szef naszego sztabu woła: »Kto na ochotnika pójdzie ze mną na skrzydło?« Wysuwa się pięciu oficerów i en carrière pędzi na zagrożony punkt, między szrapnele, w salwy karabinowe.



Wysunął się również i Jan Poświat, pacholek podporucznika Ł. Pomknął na swej szkapie we wrzący bój. A mógł przecież zostać wygodnie między swymi towarzyszami, pilnować koni poza frontem!

W tym synu kmiecia polskiego zawrzała na widok świętego ognia ta sama krew, która ongi Bartoszków pędziła na armaty. Wojna nobilituje.

---



## Przybłądy

Przybłądy... Każda armia ich ma. Takich, co »skądś« przy-  
szli i — zostali. Takich wykolejeńców, wysłanych z wiru wojny,  
takie twory, do których się nikt nie przyzna...

Ciągną za wojskiem...

Hektor jest wielkim, kudłatym psem o jasnych, piwnych,  
pocziwych ślepiach spoglądających na świat z poza gąszcza kła-  
ków, koloru ongiś białego, a dziś niewyraźnie żółtawo szarego.

Hektor od miesiący idzie za Legionami:

Skąd się wziął? Nikt nie wie. Pewnego dnia, gdy sztab  
Legionów zakwaterował się w mizernej dziurze przed przełęczą  
oekoermezką, zjawił się nagle w okropnym, pożałowania godnym  
stanie, wychudzony do kości, wygłodzony i kulawy... Podska-  
kiwał na trzech nóżkach, czwartą unosząc w powietrzu. Wtedy  
jeden z kuchcików zlitował się nad psiną, nakarmił go, ob-  
wiązał szmatą złamaną nogę i nazwał — Hektorem.

Od tej chwili Hektor pokochał Legiony swą psią, bezgra-  
niczną miłością...

W kilka dni potem wyjechał sztab do innej nory karpac-  
kiej, o kilkanaście kilometrów naprzód. Nie minęło i pół go-  
dziny, a między oficerami począł się szwędać Hektor, podska-  
kując na swych trzech nóżkach, wymachując radośnie ogonem  
i spoglądając rzewnie na tych, co tak niespodzianie odjechali...

Zwolna Hektor odzyskał zdrowie. Biegł już na czterech  
łapach i przytył. Dobrze mu się działo na wikcie legionowym...

Ba, ale wszystko dobre na świecie ma swój koniec. Przyszła  
tranzlokacya naszych wojsk, kolejają, w inny całkiem szmat kraju...

Przełomowa chwila w życiu Hektora...

Jechaliśmy przez 1½ dnia koleją, potem kilkadziesiąt kilometrów konno.

Stajemy wreszcie dla wypoczynku przed jakąś chałupą. Śnieżyca, zadymka, świata nie widać. Patrzę, a tu z białej mgły wyłania się pocziwe psisko...

— Hektor!

Podskoczył jak rzucony z procy, począł skomleć ze wzruszenia, piszczeć z radości, wyć ze szczęścia. I jak się nie rzuci między nas, jak nie zacznie ocierać swego cielska o nasze buty!

Którędy przewędrował tyle kraju — któż wie? Odnalazł jednak swych panów, tych co go z nędzy i choroby podźwi-gnęli, a którym w swem psiem sercu ślubował dozgonną wierność...

Pietrek jest w drugim batalionie trzeciego pułku. Przyczepił się pod Mołotkowem do komendanta, majora Fabrycego i — został.

Pietrek jest najmniejszą osobą w Legionach, nie najmłodszą, bo Antek Łęczyński z Kalwaryi ma lat dwanaście. Nie znał Antek ojca, a matka mu zmarła w chwili wybuchu wojny, on zaś powłóczywszy się za batalionem uzupełniającym na Węgry, został kuchcikiem w lazarecie polowym.

Pietrek ma lat 15, ale wygląda na 10. Oczywiście nie z blizka. Bo przypatrzywszy się bliżej jego twarzy, ocenilibyś ją na 40 lub 50 lat. Jest to twarz niemal zgrzybiała, tak często spotykana u karłów.

Pietrek budzi wrażenie wprost śmieszne. Na małym dziecinny korpusie tego wyrostka leży nieproporcjonalnie wielka, niemożliwie pofałdowana bluza żołnierska i zwisa u boku przydługi bagnet, nad a tem wszystkim sterczy pomarszczona, szeroka, starczą twarz...

Drugi batalion biwakował w styczniu 1915 na łące nad-rzecznej pod miasteczkiem Borszą, u skraju Alp rodniańskich. Tam pokazują mi Pietrka. Grzeje się przy ognisku i żuje kawał chleba, popijając zupą.

Zagaduję go.

— Skąd pochodzisz, jak się zwiesz?

— Pietrek...

— Nazwisko?

— Pietrek...

— Skąd?

— Z Nadwórnej... Tato biedny... nie było co jeść... poszedłem...

— A byłeś w ogniu?

— Byłem...

— Gdzie?

— A pod Mołotkowem, Jasienowem, Rokamezö, Czuszką...

— A jakto było?

— A nic...

— Jakto nic?

— Strzelali...

Powiedział to z takim spokojem, jakby chodziło o rzecz najzwyczajszą w świecie, o zdarzenie z codziennego życia. Bo Pietrka z Nadwórnej, którego z domu ojcowskiego wyгнаła nędza, porwał wir wojenny, a w tym wirze czuje się on najbezpieczniejszym.

Po kilku miesiącach, na wiosnę, dosięgła Pietrka kulka, jedna z wielu zabłąkanych i trafiła prosto w czoło...

---



## Sanitariusze

Dłży się kolumna po drodze, jak wąż się wije i zapada gdzieś na rozdrożu...

Za kolumną sunie garść ludzi z czerwonymi krzyżami na ramionaach, garść ludzi, dźwigających nosze, obładowanych ciężkimi pakunkami instrumentów i opatrunków.

Gdzieś, pod jakimś opłotkiem wre praca gorączkowa. Pochylone postaci, skupienie na twarzach, jest to miejsce opatrunkowe tuż za frontem.

Mrok zapada. Przed front wysuwają się w pojedynkę szare postaci i gubią się we mgłach. To sanitariusze obszukują pole zmagania, by tych, co o własnych siłach dźwignąć się nie mogą, sprowadzić, lub tych, którzy już śpią na wieki, przynieść...

Lecz jakże często ich samych, ich, którzy miesiącami, w setkach wypadków spieszą z pomocą — znosi się z pola! Ileż razy okupują krwią serdeczną swe wysokie posłannictwo!

Cichy jest sanitariusz i ma od tego bólu, który wokół niego stale się gnieździ, smutną, poważną twarz. Ale o jego bohaterstwie głośno mówić trzeba!

I pokłonić się przed wielkością tej skromnej postaci która, by wyrwać ze szpon kosiarza człowieka, sama pada jak zżęty kłos.

Nazywał się Alojzy Stelmach i był w drugim pułku sanitaryuszem. W grudniu 1914 r. pułk pod Oekoermezö szturmował górę Kliwę. »Der Berg, der hundertmal gestürmt wurde« — pisał o tym

punkcie oporowym felietonista »Kölnische Zeitung«, gdy w styczniu niemieckie wojska prowadziły ofensywne ruchy na Wyszków. Przełęcz oekoermezką zafarasowała wprost ta góra, która się wpoprzek rozsiadła, góra, gdyby wulkan ze szczytu gorejąca ogniem... Pułk nasz współ z innym oddziałem wojsk kilkakroć szturmował. Trudno było...

Obszukuje pole sanitaryusz Stelmach i szuka rannych. Widzi, że na stoku stoi opuszczony karabin maszynowy. Moskale ze szczytu widzą podchodzącego do maszyny człowieka i zasypują go gradem kul. Cóż to jednak obchodzi naszego chłopaka? Niech sobie te uprzykrzone osy wokół brzęczą — on bierze się do roboty. Ładuje zwoje nabojów do kieszeń i torb z opatrunkami, bierze karabin maszynowy na plecy i wśród morderczego ognia zstępuje ze zdobyczą przez stok Kliwy do swoich...

Kiedy następcą tronu z końcem grudnia bawił wśród nas i dekorował osobiści odznaczonych Legionistów, wręczył też wielki medal waleczności Stelmachowi. Przy każdym z odznaczonych kazał sobie opowiedzieć czyn, który był podstawą wniosku o odznaczenie. Gdy się dowiedział, że Stelmach, aczkolwiek jako sanitaryusz wcale nie był obowiązany do zajęcia się karabinem maszynowym, mimo to, z poczucia obowiązku żołnierskiego, wśród tak niebezpiecznych okoliczności dokonał tak ryzykownego przedsięwzięcia — podał chłopakowi rękę i w kilku ciepłych słowach podziękował za piękny czyn.

Chłopak cały zaczerwieniony, odurzony, wzruszony, odparł: — Cesarska Wysokości! Na drugi raz ja całą armatę przydzwigam!

Oczywiście »gaudium« w otoczeniu było wielkie.

Przez całą zimę i całą wiosnę, w Karpatach i Besarabii, Stelmach wprawdzie nie dzwigał armat na plecach, ale odratował setki swoich, nakładał na krwawiące rany opatrunki, sprowadzał kulejących, podpierał ślaniających się, przemierzył dziesiątki pobojuwisk.

Aż czasu najpiękniejszej jesieni, w precudny wrześniowy dzień, gdy w Rarańczy wysunął się przed placówkę, by sprowadzić rannego z patrolu, jedna z tych uprzykrzonych os, których tyle zawsze wokół niego brzęczało, ukłuła go w samo serce...

---

Nazywał się Tadeusz Kurpiel i był w pułku Januszajtisa sanitaryuszem. W czerwcu 1915 roku druga Brygada dokonała



pełnego chwały ruchu ofenzywnego od Prutu w głąb Besarabii, od Mamajestie poprzez Rokitnę do Dynowiec. Jednym z najważniejszych, decydujących dni ofenzywy był 11 czerwca, dzień złamania frontu rosyjskiego pod Witelówką i Zadobrówką, dzień wyparcia Rosyan do cna z Bukowiny, dzień wzięcia przez Legiony kilkuset jeńców, miliona nabojów, trzech karabinów maszynowych — »der Polentag«, jak go nazwała w swym pochwalnym rozkazie komenda korpusu.

W tym dniu wdziera się sanitaryusz Kurpiel w okop rosyjski, aby z niego wyjść ze 122 jeńcami rosyjskimi, którzy się mu poddali... Dostał za to mały srebrny medal waleczności.

W kilka dni potem, 17 czerwca, po odparciu przez drugą Brygadę pięciu ataków rosyjskich i wzięciu przeszło 1000 jeńców, między Rarańczą, gdzie były nasze pozycje, a Rokitną, gdzie okopał się wróg — stała na szczerem polu opuszczona armata rosyjska. Obsługę i konie już wprzód nasi wystrzelali lub wzięli. Moskale siarczyście walili, by nikt do armaty nie podszedł. Wtedy to Tadzik Kurpiel z 15-letnim Antkiem Januszajtisem obmyślili »wycieczkę« na armatę.

Alboż to pod Zbarażem lub Częstochową Skrzetuski i Kmicie takich wycieczek nie urządzali?« — powiedział Antek potem.

Więc suną wśród piekielnego ognia, dołają i — demontują działo. Wykręcili zamek, poniszczyli, co się dało — i śmieją się z ognia!

Wtem słania się Kurpiel. Kula przebiła mu stopę. Antos łąduje sobie na plecy zranionego kolegę i wraca z nim do swoich. Za »wycieczkę« i zdemontowanie działła dostał wielki srebrny medal.

Wywieźli Kurpiela do szpitala, a on, ledwo się podleczywszy i z grubsza z rany wylizawszy, wrócił do pułku.

Jeszcze ciepło było i jeszcze hasać mógł pod okopami w Rarańczy...

A kiedy złocić się poczęły liście i opadać, z początkiem października, i on też, jako jeden z najpiękniejszych kwiatów naszej młodości, padł... Podczas pełnienia obowiązku sanitaryusza, przed frontem, śmierć go zżęła. Dostał w stos pacierzowy i odrazu go zamroczyło...

Nazywał się Leon Reissmann, pochodził z kieleckiego i był w I kompanii drugiego pułku. Po bitwie pod Lissowem,



gdy już ciemności zasnuły widok, wylazł z okopu, by wykopać grób dla kolegi, który za dnia padł.

W dzień ani przystąpić do miejsca, wciąż było bowiem ostrzeliwane. Ale w nocy Leon postanowił sam pogrzebać przyjaciela, z którym ruszył na wojnę i z którym na polu bitew złączył się braterskimi węzły.

Kopie mu w piachu jamę.

— Ja sam — powiada do otaczających go — ostatnią przyjacielowi chcę wyświadczyć przysługę.

— Za krótki kopiesz grób — powiada jeden.

— Ale gdzie tam — Reissmann na to — dość wielki. Popatrzcie, i ja bym się w nim pomieścił.

Wskakuje do wykopanej przez się jamy i kładzie się.

— W sam raz dla mnie!

Wychodzi z jamy i... w tej chwili zabłąkana kula bzyknęła stojącym wokół nad uchem.

Leon Reissmann leży już obok jamy, a z przestrzelonej piersi bucha krew.

Złożyli go później do grobu, który sobie sam wykopał, jego i przyjaciela. Grób był dość wielki. Zawarł obu...

Nazywała się Marya Błaszczyk i była sanitaryuszem w drugim pułku. Nie sanitaryuszką. Nikt w Janie Tadeuszu Zaleskim z 9 kompanii, noszącym na plecach tornister i ciężkie tłumoki żołnierza sanitarnego, przybranym w szary mundurak połowy, z bagnetem u boku — nie byłby poznał młodzietkiej, pięknej panny Błaszczkówny z Łodzi, która w lecie zaciągnęła się do Legionów i wytrwale a ciężko pracowała w swym przydziale służbowym. Tylko kilku wtajemniczonych wiedziało, że Zaleski to wcale nie Zaleski, jeno młoda dziewczyna. A kto nie wiedział, ten po zachowaniu się Zaleskiego nie mógł tego poznać. Boć tyle młodych, chłopięcych, rumianych twarzyczek w Legionach...

W bitwie pod Bielgowem do sanitaryuszy 9 kompanii dolatuje wieść, że sanitaryusz 8 kompanii, Jan Oksiuta, skrwawił się w polu...

Dziwny zajaśniał błysk oczu Zaleskiego — gorączką zapalała twarz — ciężko zafalowała młoda pierś dziewczęca...

Rzuca się w wir szalejącej przed frontem walki.

Musi dotrzeć do Oksiuty, pomódz, ratować, spojrzeć raz jeszcze w jego oczy...

Nikt, ani on, o tem nie wiedział... Nie wiedział, że kolega Zaleski to...

Pognała w wir. Nie bacząc na nic.

Już jest w pobliżu Oksiuty... Już jest przed jego ciałem...

Drżącemi rękoma rozdziera pakiecik opatrunkowy, przykłada do krwawiącej rany Oksiuty, a w tej chwili sama zwala się nań, martwa...

Ekrazytówka ją przeszyla. Popłynęły dwa strumyki krwi i złączyły się razem...

Nazywała się — nie, żyje, więc powiedzmy: Alfred Wołoszczyński i jest sanitaryuszką — nie, sanitaryuszem na miejscu opatrunkowym lekarza pułkowego drugiego pułku, dra Stefanowskiego. Również prócz wtajemniczonych mało kto wie, że Wołoszczyński, jak i Błaszczkówna, jak i Kepiszówna, co nad Styrem dostała się do niewoli, stanowią trójkę dzielnych dziewcząt.

Przynoszą z pola Wilhelma Stolléra, rodem ze Lwowa, Legionistę, ciężko rannego. Zegar szrapnelowy rozdarł mu piersi, pogruchotał.

Spojrzał nań dr. Stefanowski, nałożył opatrunek, pogłaskał po głowie i odwrócił się do innych, czekających kolei... Nie do wyratowania... musi zemrzeć... pożyje może jeszcze z godzinę...

A ciężko ranny chłopak leży przez jakiś czas cichutko, aż nagle krzyzczeć poczyna:

— Pomagać!... pomagać!... pomagać!!

Smutnie spoglądają po sobie obecni. Pomagać... Chłopcze, tobie tu na ziemi nikt i nic pomódz nie może.

A on coraz chrapliwiej, coraz namiętniej krzyczy:

— Pomagać!... pomagać!!

Przystępuje po raz wtóry dr. Stefanowski do noszy, na których chłopak leży, mówi kilka dobrych słów, głaszcze po głowie.

A on przeszywającym głosem wciąż:

— Pomagać!... pomagać!!

Dr. Stefanowski powiada: Podać strzykawkę; zastrzykniemy na uspokojenie.

Wtem podchodzi sanitaryusz Wołoszczyński:

— Ja wiem, o co mu chodzi. On chce powiedzieć »pomodlić«, a może wydobyć z siebie tylko słowo »pomagać«.



I przyklękawszy przy noszach, poczyną swym dziewczęcym głosem:

— Ojcze nasz, któryś jest...

Ojcze... nasz... któ... ryś... — wtóruje cichutko uspokojony już chłopak, a błogi uśmiech wykwitł mu na bladej twarzy.

W sali opatrunkowej robi się cicho jak makiem zasiał. Słychać tylko anielski dwugłos: dziewczyny sanitariusza i umierającego Legionisty.

— Bądź wola Twoja...

Bądź... wo... la... Two... ja... — powtarza za tą jedyną, która odgadła intuicyą dziewczęcą ostatnie życzenie umierającego.

Twarz jego robi się coraz pogodniejszą, głos jej coraz melodyjniejszym, cichszym. Jakby na najcieńszą strunę nałożono tłumik...

Gdy cichutko szepnęła »Amen« — skołał...

---



## Z kresów na kresy

Zwano nas Karpatczykami, Besarabczykami. Od terenu, na którym się biliśmy.

Pół roku, przez całą pierwszą zimę — w Karpatach, na południowych etnograficznych krańcach ziem polskich, staliśmy jako straż niezłomna wału górskiego.

Pół roku, przez całe lato — na pograniczu Besarabii, na starym szlaku bohaterów Sienkiewiczowskich, w tych lasach, które ścięte pogromiły syna Kazimierza Jagiellończyka, w tych jarach i wertepach, kędy szły kozackie czernie, kędy nawała szła w środek Europy, gdzie polski oręż był żelazną zaporą, nieskruszonym rygłem.

Zwano tedy drugą Brygadę karpacką, to znów besarabską. Dziwne, że nikt jeszcze nie nazwał jej — kresową.

Przeznaczeniem drugiej Brygady Legionów jest walczyć u kresów. Konsekwencya przeznaczeń obejmuje nietylko jednostkę — ulegają jej całe oddziały. Los kazał drugiej Brygadzie stawać stale u wyłomu, osłaniać swemi piersiami kresy. Nigdy przez pierwszych 15 miesięcy wojny nie było inaczej, nigdy nie byliśmy w centrum — zawsze u kresów. Nigdy w środowisku jaśniejącem polskością — zawsze na najdalszych terenach wpływu polskiego, zawsze jako tarcz i ostoja dla tych, co hen daleko, w głębi kraju...

Wreszcie, w październiku 1915 padło dawno oczekiwane, brzemienne tęsknotą słowo: translokacya — przeniesienie i — połączenie!

Z drżącemi sercami siadamy na małej stacyjce pod Czerniowcami do pociągów. Po 15 miesiącach rozłąki mamy przejechać przez polskie kraje...

Kiedysmy tam miesiącami u trzonu gigantycznego frontu od Rygi po Czerniowce stali z bronią nabitą ze wszech stron naciskani, a mimo to niewzruszeni — w krainach, przez które teraz przejeżdżamy, dokonywało się dzieło wyzwolenia.

Tam w Rarańczy, nad Prutem, tuż pod skrętami dniestrowymi o tem wszystkim czytaliśmy — a teraz w przejeździe widzimy na własne oczy ten tak ważny tor Kołomyja — Stanisławów, te mosty, przez uciekającego wroga wysadzone w powietrze, a mimo to w tak krótkim czasie przez przemysłne dzielne oddziały techniczne przysposobione do użycia, te gruzy i zwaliska dworów i dworków, te nieproporcjonalnie długie dziś kominy fabryczne, sterczące z rumowisk, te miasteczka, odbudowujące się powoli i ten dziwny cud przyrody, siłę jej odtwarzającą, tę samopomoc, przez którą natura sama się odtwarza na nowo, sama się doprowadza na nowo *»ad integrum«*. Potem w przejeździe ujrzeliśmy Lwów — Lwów Rutowskiego — Lwów, co się w październiku, gdy przezeń przejeżdżaliśmy, budził z ciężkiego, przykrego snu. Potem Przemyśl, dalej w Królestwie Kraśnik. Na ziemię patrzyliśmy pulchną, pokrwawioną szramami rowów, ziemię uświęconą takim upustem krwi. Nastąpił Lublin — miasto, co z miejsca strząsało z siebie wszelką rosyjską cechę, miasto uświęcone tradycją szczerze polską. Jeszcze dalej przez ziemię chełmską szła droga nasza, przez Chełm, — mimo bizantynizmu, stylu, w jaki go Moskwa zewnątrz ustroiła, niewzruszony, nieodmienny. Dobiliśmy wreszcie na Polesie...

Na małej stacyjce kolei Kowel — Sarny, w zimną noc, zostajemy wywagonowani. Dookoła płoną ogniska, oświetlające upiornie poszycie boru. Przy jednym z ognisk kładziemy zmęczone monotonią i nieróbstwem kilkudniowej podróży ciała.

Ledwośmy się rozglądnęli — a już trzeba było imać się roboty. Z niezbyt wielkiej dali dolatuje nas kanonada. Od strony południowo-wschodniej głucho odgłosy bitwy, tak dobrze znane przybywającym na nowy teren walki, odgłosy bojowych zmagañ. Jeszcze grzechotu karabinów nie słyhać — ale już wiatr niesie muzykę bitwy, dudnienia haubic i armat polowych, głucho trzaski eksplodujących granatów.

Tam nasi bracia z pierwszej i trzeciej Brygady stawiają czoło napierającym Moskałom, ba, co więcej — jak nas dochoǳą wieści — przeszedłszy do kontrofensywy, przypierają ich do bagien nad Styrem.

Na stacyjce, na której nasza Brygada się gromadzi i do niebawem mających nastąpić bojów ustawia — odbywają się



transporty rannych, dowóz amunicyi i żywności, intensywna gospodarka wojenna umożliwiająca frontowi wytrwanie.

Tuż obok stacyi, na skraju lasu, grób. Niema na nim krzyża jeno pal, a na nim napis:

Adolf Sternschuss, były nadporucznik wojsk austryackich, z własnej woli prosty żołnierz Legionów..

Podchodzi z nami ksiądz Antosz i, przyklękawszy obok grobu, odmawia pacierz za duszę tego, co pamiętny spuścizny Berka Joselowicza, padł na pobojowisku..

Wśród intensywnych przygotowań do walki nadchodzi dzień rocznicy bitwy pod Mołotkowem, tego wielkiego egzaminu bitności i wartości naszego młodego żołnierza, dzień 29 października.

Na polanie leśnej widnieje czworobok weteranów drugiej Brygady. Morowe chłopaki. Przez dwanaście miesięcy bili się w Maramoroskiem, w Nadworniańskiem, na Huculszczyźnie, pod Oekoermeszö, pod Kirlibabą, nad Dniestrem, w północnej Bukowinie i wśród besarabskich jarów.

A teraz oto stoją na nowym terenie i — znów na wroga!

Stoi tysiące wiarusów, tysiące najdzielniejszych żołnierzy polskich zapełnia polanę leśną — to ci, co wszystko przetrwali, co od samego początku gigantycznych zapasów pierś nadstawiali. Dziś tak samo wierzą, jak ongi, gdy ślubowania czynili, gdy nowutki karabin »zafasowali«. Jeno, że ten karabin to już stary powiernik, drogi towarzysz. Ciężko ranny pod Rarańczą na placówce legionista, w zakładzie sanitarnym, przy opatrywaniu kurczowo drugą, zdrową ręką ścisnął karabin i odsyłany w głąb kraju do szpitala, łkał, że mu karabin odbierają i tak długo prosił, aż mu obiecano, że »jego« karabin zostanie osobno przechowany aż do powrotu z szpitala na linię..

Takich dziś przywieźliśmy żołnierzyków, tacy łączą się z legionistami innych Brygad!

Coraz zimniej, coraz mroczniej, coraz ostrzejszy wiatr przelata przez огоłocone już zupełnie z liści lasy.

Gęste mgły snują się nad oparzeliskami, powietrze przesycone wilgocią, wszystko jakies lepkie, wodniste, wszędy sączy się woda, kałuże mieniają się krwawo od płonących ognisk, niebo zasnutę zmętnioną, brudną opończą.

Pierwszy zaczyna polatać śnieg..



I coraz głośniejsze echa zmagają się przed nami. To nasi, legioniści pierwszej i trzeciej Brygady borykają się z przemagającym wrogiem.

Nareszcie, ostatniego października, o północy — naprzód, marsz!

Brygada druga ma niezwłocznie ruszyć na front.

Pogotowie szybko zarządzone; w godzinę potem wnikamy w lasy... Przez całą noc na kulbace. Późny szarzeje świt, zbliżamy się do Lissowa.

Poprzez gęste mgły ranne dochodzą echa salw armatnich. Jeszcze wsi nie widać, tylko w powietrzu symfonia bitwy.

Mgły idą w górę...

Jesteśmy na linii bojowej.

---

## Z walk o Styr

Dwór w Lissowie.

Ongiś była to jedna z owych wołyńskich rezydencji polskich, które wśród ciemności są, gdyby kaganki, zawieszone u stropu olbrzymiej, ciemnej sali. Dokoła ciemń ducha, kurne chaty, przesąd i zapadłe, odcięte od świata, białoruskie ostępy — w pośrodku dwór polski, niby oaza na pustyni.

Tak było przed wojną.

Dziś wichura przeleciała po dworze i jeno same zostały szczątki. W kupie gnoju stoi szkielet fortepianu, porąbane na opał części garnituru mebli świetlicy dworskiej, otomana, co dziś warcie służy za miejsce wypoczynku; dalej sterta papierów i druków, rachunków i broszur, powieści i rozpraw, które dawniej w długie wieczory zimowe stanowiły jedyną może na pustkowi formę obcowania z kulturą.

W południe, dnia 1 listopada, poczyna się walka o zajęcie pozycyi rosyjskich.

Bierze w niej udział Januszajtis ze swym pułkiem, Minkiewicz dziś w rezerwie, na innym odcinku. Pół Brygady mamy ze sobą, pół jeszcze poza akcją.

Dzisiejsza walka poczyna się silnem przygotowaniem artylerzyckiem. Od słynnego wyłomu pod Gorlicami, na wiosnę 1915, jest to najskuteczniejszy sposób posuwania się naprzód i przełamywania frontu. Ustawia się moc armat przeróżnego kalibru i — jakby piekło się rozwarło. Siła naszej artyleryi niezrównana, działanie niechybne a mordercze. Słowa nie są w stanie oddać tych efektów, które takie przygotowanie artylerzyckie wywołuje.



Każda bateria nastrojona jest na inny ton. Są baterie głucho dudniące i jaskrawo wrzaskliwie świszczące; moździerze, haubice, połówki z paszcz wyrzucają naboje, które przesywają powietrze, aż jęczy i syczy, to znów gwizdże lub dźwięczy jak rozbijane szkło.

Na tle nieba rewolucya!

To zaryje się granat w ziemię i kłęb ziemi i dymu nad nią wykwitnie, to rozprysnie się moc szrapnelów po lazurze, rozpełzną się różowe i białe dymki.

Coraz silniej idzie kanonada, coraz więcej słupów ziemi i dymu wyskakują, na horyzoncie coraz gęściej rozpryskują się szrapnele, gra kilkadziesiąt armat, kilkadziesiąt paszcz wypluwa śmiertcionośne pociski — coraz głośniej wałą po naszej stronie, coraz rzadziej po stronie frontu wroga.

Nagle wszystkim milknie... Głosy jakby się urwały, jakby się zapadły. Tylko od czasu do czasu pocisk leci jeszcze na flankę.

U podnóża wzgórza, które ma być wzięte ukazują, się czarne punkciki naszej tyraliery, pod górę pnie się mrowisko, już się całe wzgórze zaroilo — już w miejsce dźwięcznych eksplozji armatnich słyhać cienkie, jasne świsty salw karabinowych. Już z flanków dobiega pytlowanie karabinów maszynowych, już nasi na połowie wzgórza — coraz szybsze salwy, coraz gęściej miele karabin maszynowy — chwila i już na szczycie góry nasza linia...

Jedziemy naprzód i okropny roztacza się przed nami widok. Nie tem straszny, że kłębią się trupy wroga, że leżą całe rzędy pokaleczonych, że na noszach sprowadzają rannych — lecz przerażające jest to przekotłowanie terenu, te wyrwy, nasypy, lejki, porozwalane ziemianki, pogruchotane rowy, napierśniki, porozrzucane przedmioty rynsztunku. Do trupów, krwi, rannych i jęczących oko i słuch już się przyzwyczyały — ale nowym jest ten chaos w terenie, wywołany przygotowaniem artylerzyckim, to moralne, nietylko bojowe pogrążanie wroga, ta siła zniewalania go bądź do panicznej ucieczki, bądź do poddania się.

W rowie, na piachu, w mżący deszcz, w chłód listopadowej nocy — kładziemy się na mokrą ziemię z przeświadczeniem, że ledwo brzaski przebiją ciemność, trzeba będzie dokończyć dziś rozpoczętego dzieła. Bo mimo sukcesu terenowego, mimo zniewolenia nieprzyjaciela do cofnięcia się ze swych pozycji pod Lissowem i Bielgowem na dalszą linię, jeszcze jest on po zachodniej stronie rzeki i jeszcze ma oparcie o bagna, rozpościerające się wzdłuż pobrzeżów Styru, bagna, w których skryte



przejścia i przesmyki są mu dobrze znane i z których może patrolować, mniejszymi oddziałami kozackimi niepokoić, zaskakiwać.

Więc ledwo świt — już poczyną się z naszej strony akcyja. Wczoraj byliśmy świadkami przygotowania artylerzyckiego tuż za bateriami — dziś przed nimi. Nad nami gwizdy i świsty, to wśrubują się w powietrze »kufferki« moździerzy, haubic i pociski armat polowych. I rzecz dziwna. Wczoraj, mimo że byliśmy za linią strzału, groza była większa, dziś, gdyśmy pod łukiem balisty, jaką zakreśla pocisk — wrażenie mniejsze.

Slicznie po przygotowaniu artylerzykiem prowadzi dziś Januszajtis swój pułk do ataku. Na przeszło 400 kroków posuwa się naprzód, dociera do przednich pozycji rosyjskich i z miejsca się w nich usadawia, będąc wysunięty przed cały front i uczyniwszy poważny wyłom w linii nieprzyjacielskiej.

Należy się nam po dwu dniach i dwu nocach na szczyrem polu, bez ciepłej strawy, wśród natrętnego deszczu — krótka rekreacya. Więc ledwo wieczorne ciemności iść poczynają, zajeżdżają kuchnie polowe, i nareszcie nasi chłopcy pokrzepić się mogą po ciężkich a zaszczytnych znojach.

Nazajutrz komenda Brygady się przenosi gdzieindziej. To samo, co pułk Januszajtisa zdziałał dla ustalenia i wzmocnienia naszego frontu pod Lissowem, to samo ma pułk Minkiewicza uczynić pod Kostiuchnowką. Więc zostawiwszy Januszajtisa, przenosi się komenda do Wołczecka, dokąd równocześnie zostaje odkomenderowany pułk Minkiewicza.

Tu nastąpił 4-go listopada, w południe, historyczny moment.

Na łące, tuż między wsią a cmentarzem, gromadzą się komendy, które mają przeprowadzić generalny atak na front nieprzyjacielski.

Naczelną komendę objął Eksc. Durski, który ma dziś pod sobą szereg większych jednostek militarynych, zarówno austro-węgierskich, jak i niemieckich.

Lecz ponadto, po raz pierwszy w dziejach Legionów walczą dziś wspólnie części wszystkich trzech Brygad legionowych, reprezentacye wszystkich legionowych rodzajów broni. W radzie wojennej na łące widać i majora Trojanowskiego z pierwszej Brygady i podpułkownika Minkiewicza z drugiej Brygady

i podpułkownika Norwida z trzeciej Brygady. — Stoi kapitan Rożen, z pułku artylerji, i porucznik Mańkowski, z »ekwadorków« naszej Brygady, dalej rotmistrz Ostoja, z pułku ułanów, rotmistrz Brzeziński, z dywizyonu naszej kawaleryi, pułkownik Küttner i podpułkownik Sosnkowski, którzy dowodzą odcinkami, a wreszcie, pod wodzą szefa sztabu, szefowie sztabów brygadowych, Towarek i Kochański. Wszyscy wspólnie plan akcyi ustalają.

Historyczny moment, radujący duszę każdego, kto mimo wszystko, od początku wierzył w ideę legionową.

Moment ten, utrwalony przez malarza, będzie kiedyś świadczył o tem, ile siły organizacyjnej i żywotności było w Legionach w 15-tym miesiącu wojny i jaki nakład pracy został w to włożony.

Kapitan Tarkowski prowadzi cztery kompanie, kapitan Mężyński tyleż.

Kolumna, jak wąż wiję, się z Wołczecka drogą, wiodącą do Kostiuchnówki i wnika w gąszcze leśne, której przebyć trzeba, by się dostać do podnóża wyniosłości, na której szczycie nieprzyjaciel zawzięcie broni tego miejsca, klucza swych pozycyi w odcinku frontu nad Styrem.

Tuż pod lasem nasze baterje przygotowują pole działania piechoty. Nieprzyjaciel wietrzy zamierzony atak i ostrzeliwa tyły naszego frontu z armat, by nie dopuścić naszej piechoty i ewentualnie przeszkodzić działaniu naszej artylerji. Wcale niewyraźnie robi się w sporządzonem na pędzie wydrażeniu, gdzie przykucnięci z aparatem telefonicznym połowym siedzimy. Rozpryskują się szrapnele, granaty wyważają kłęby ziemi, »macając« naszą artylerję. Jednak, na szczęście ani nam, ani armatom naszym nic złego strząły te nie czynią.

Tymczasem kapitan Tarkowski idzie z impetem naprzód. Już ściemniać się poczyna, gdy mimo prażącego ognia wybornie ukrytych, na dawno już przygotowanych okopach ustawionych nieprzyjaciół — podchodzi na 400 kroków do pozycyi na wzgórzu. Dalej na razie dotrzeć niepodobna. I tak już w pierwszym pchnięciu daleko naprzód nasi doszli.

Niestety, nie bez ofiar... W żołnierzach były mniejsze stonkowo — większe w oficerach.

To charakterystyczna cecha bojów legionowych, że oficer zawsze na przedzie — oficer krwią swą znaczy drogę żołnierzom.



Pada Tarkowski, piękna dusza, bohater z pod Osmołody w Rafajłowszczyźnie. Pada porucznik Łysek, Słazak, nauczyciel ludowy, jeden z pionierów oświaty. Pada chorąży Konstanty Majewski, adjutant kapitana Tarkowskiego i jego elew. Pada podporucznik Zalewski, który w maju, gdy go rannego z pod Mamajestie nad Prutem wieziono poza linię, uśmiechem pokrywał dotkliwy ból, mając rozerwany ułamkiem pocisku mięsień; pada wreszcie podchorąży Lejczak, jeden z tych wielu, co godności oficerskiej w Legionach dorabiali się w chrzeście kul...

Nazajutrz znowu atak. Dystans między naszą linią a okopami wroga zmniejsza się ciągle. Już nie czterysta kroków, lecz dwieście. Znowu skok poprzez grad kul i już tylko ośmdziesiąt kroków dzieli obie linie... Rannego wiozą dra Żeliszawa Grotowskiego, porucznika — adjutanta, który na czele kompanii parł naprzód, aż się zwałił na ziemię krwawiąc z sześciu ran...

Jak przystoi żelaznej Brygadzie karpackiej, góralom Minkiewicza, Słazakom Łyska, po bohatersku szła Brygada naprzód.

Klin, wbity przez naszych w pozycje rosyjskie, widocznie kłuje i boli wroga, bo następnej nocy pięcioma kontratakami na sąsiednie grupy i nieprzerwanym ogniem w naszą stronę stara się uwolnić od tego ciernia. Lecz walczy napróżno, żaden kontratak się nie udaje. Natomiast nasz oddział, pułk Minkiewicza, zostawiwszy zajęte poprzednimi atakami pozycje do utrzymania innym wojskom, rusza na poblizki odcinek, by go umocnić i do dalszej przygotować akcji.

Podczas gdy pod Kostiuchnowką mocije się z wrogiem, wszystkie zalety starych Karpatczyków wykazując, pułk trzeci — pod Lissowem stoi nadal twardo w zajętych przez się pozycjach drugi pułk z Januszajtisem na czele.

Niejednokrotnie Januszajtis wykazał bajeczną inicjatywę i męstwo, które go w ciągu wojny wyniosło do godności pułkownika i uczyniło chlubą naszą — tu jednak, pod Bielgowem, przewyższył samego siebie. Pisałem już poprzednio, jakie trudności terenowe piętszyły się przed jego odcinkiem. Piachy i moczary, poszyte nieprzeniknionymi krzewy, wodniste zapałdności, grzązkie młaki, przez które przedrzeć się niepodobna.

Nadzwyczaj utrudniało to służbę ubezpieczeniową uniemożliwiało wprost łączność oddziałów między sobą oraz z sąsiednimi grupami. Nieprzyjaciel obeznany był natomiast z każ-

dą piędziesiątą ziemi i dysponował muzykiem — przewodnikiem, wiodącym go przez nieprzebyte, zda się, bagniska. To też nic dziwnego, że w nocy z 7 listopada na tyłach powstał rumor i kółłowisko. Zastępowi nieprzyjacielskiemu udaje się wtargnąć skądś w naszą linię i zmieszać nasze szyki.

Zaprawdę mogłoby być dojsć do wielkiego nieszczęścia, gdyby nie Żegota-Januszajtis.

Do ziemianki jego wpada nagle czterech Moskali, chwytają go i biorą ze sobą.

Wyrwa się, pali z mauzera w łeb pierwszemu, inni zwiewają...

Żegota pędzi do rezerw, gdzie znajduje podporucznika Linnemann - Durskiego z oddziałem pionierskim i chorego oficera drugiego pułku, Tałasiewiczza, z garścią maroderów. W mig organizuje z nich Januszajtis oddziałek ku odsieczy, przyłączając do niego dziarski szwadron spieszonych huzarów 13 pułku.

Z tą grupką wali na front, odbiera wziętych już do niewoli naszych, rozbija w puch rosyjski oddział i, jakby mu tego jeszcze nie dość było, niezwłocznie przechodzi do kontrataku, zajmując rosyjskie pozycye.

Wszystko to dokonane zostało w tak błyskawicznym tempie, iż nie tylko plan rosyjski okrążenia i zagarnięcia pułku spełzył na niczem, ale i pozycye wroga nasi zajęli, przyczem 170 jeńców rosyjskich dostało się w ręce Januszajtisa...

W nadzwyczajnej tej akcji pod Lissowem i Bielgowem śmierć zabrała z szeregow naszych wielu dzielnych.

Zginął chorąży hr. Leopold Tyszkiewicz, chorąży Władysław Nowicki, ciężkie rany odniósł porucznik Linnemann - Durski, Rittner, Biestek; lżejszą ranę kapitan Dziekanowski, zuch z pod Rarańczy, który w pojedynku utłukł rosyjskiego pułkownika Iwana Razikowa; skrwawił się na śmierć po ranie w arteryę porucznik dr. Edmund Szalit i złożony został we wspólnym grobie z hrabią Tyszkiewiczem i synem mieszczańskim Nowickim w Hucie Lissowskiej.

Ostatni akt czterotygodniowych walk nad Styrem zbliżał się do końca. Wszystkie te nasze działania miały na celu sprostowanie frontu, wyrównanie luk... Teraz przystąpić należało do ostatecznego ataku! Nieprzyjaciela należało zmusić do cofnięcia się za Styr.

Dni od 10 do 14 listopada były temu zadaniu poświęcone.



Wszyscy współdziałali, wszyscy przyczynili się do sukcesu. Próżnoby wywyższać jednych kosztem drugich. Znakomicie działała artylerya austryacka, doskonale szły naprzód piechury niemieckie, a z trzech Brygad legionowych każda złożyła rzetelne świadectwo swego wyrobienia militarne.

Przez tych trzy dni dudniło stale niemal sto armat. To na jednym odcinku, to na drugim wgrzyzano się w okopy rosyjskie, przyciskano wroga do rzeki i zwężano jego pole działania.

Ile w tem ogólnem parciu naprzód było drobiazgowej roboty jednostek, ile subtelnych poruszeń, ile indywidualnych pociągnięć poszczególnych komendantów — trudno zawrzeć w krótkiej relacji, a zresztą obecnie uczynić tego nawet jeszcze nie można.

Jedenastego listopada pochowaliśmy oficerów.

Wspólny dół im wykopano i ciała rzędem obok siebie złożono.

Na pierwszym miejscu, jako rangą najstarszemu przysłało, położono komendanta baonu, kapitana Tarkowskiego, tuż obok niego porucznika Łyska i kolegów.

Przy dalekim huku armat, otoczony grzechotem karabinów maszynowych sunął smutny orszak na miejsce spoczynku, gdzie kładliśmy zazwyczaj naszych Karpaczków.

Nad iluż to dołami takimi staliśmy już w ciągu kilkunastu miesięcy walki, na iluż to terenach samotne krzyże znaczą dzieje męstwa polskiego!

Mogiłki w Kratsfalu, na przełęczy pantyrskiej, w Zielonej, Rafajłowej, w Krzyworówni, Żabiem, w Kirlibabie, Seletynie, Niżniowie, Jezupolu, Bortnikach, Korolówce, nad Prutem i Dniestrem, w Dobronowcach i Cecynie, Rokitnie, Rarańczy — oto mauzolea oręza polskiego, pomniki ofiary, jaką Polacy składają na ołtarzu idei...

I znów rozwarł się dół... znów nad nim stoi ksiądz Antosz... a Durski zażawionem okiem spogląda na swe ukochane dzieci...

Znów garstka oficerów trwa w głębokiem zamyśleniu i myśli o poległych... a nad mogiłkami płynie »Boże, Ojczy« i »Spój, kolego«...

W dniu 12-go listopada wszystkie czynności wstępne i przygotowawcze dla przeprowadzenia ogólnego ataku były już dokonane.

Postanowiono, że teren musi być z wroga oczyszczony!

100 armat stoi, a za nimi moc jaszczyków. Na odcinku drugiej Brygady akcja koncentruje się na wzięciu wschodniej części wzgórza, cmentarza i wsi Bol. Medwieże. Ma to być przedsięwzięte w nocy, a dokonane ochotnikami. Trzeba się podkraść poprzez ogień nieprzyjacielski i zniemacka dopaść rowów strzeleckich wroga.

Trzynastego listopada ogólny atak! Znowu ziemia się trzęsie, znów łomot i huk, znów kłęby dymu i biało-różowe chmurki.

Nieprzyjaciel traci dosłownie grunt pod nogami. Ostatnie jego punkty oporowe wzięte, całą masą wepchnięty zostaje w nadrzeczne bagniska.

Pod wieczór łuny na widnokręgu... Znamy jeszcze z czasów besarabskich te świetlne znaki. To nieprzyjaciel sygnalizuje nam swój pogrom, a nasze zwycięstwo. Pali wsie, puszcza z dymem zajmowane jeszcze przez się osady. Obecne łuny, krwawiące na horyzoncie, znaczą zupełny pogrom armji rosyjskiej, która, przeszedłszy Styr, zamierzała wbić się klinem w nasz front i dotrzeć do kolei Kowel-Sarny. Na polu zostaje 2500 trupów rosyjskich, 400 świeżych grobów przez Rosyan wykopanych.

Dnia 14-go listopada nieprzyjaciel zwiął za Styr...



## Leże zimowe

Kiedyśmy pod koniec października przybyli nad rokitniańskie bagna, poleskie uroczyska, moczary nad Styrem — liście z drzew opadały, puszcza spowita była w mgły jesienne, z oparzelisk szły ostre wyziewy gnijących na czarnych wodach roślin, szkliły się tęczowo młaki, a piaski zmieniły się w lepką, oślizłą masę.

U skraju lasu, pod falistem wzgórzem, przykucnęła wioska, napoły spalona, a napoły zniszczona z pustymi oczodołami kurnych chat. Osłepłe domki rozsiadły się, gdyby żebracy po obu stronach drogi wyczekujący zmiłowania. Zmartwiała w smutku nabrzmiałym melancholią wielka połać kraju.

Tu spędzić mieliśmy drugą zimę wojny, tu urządzić leże zimowe, w pustkowiu, przez które przeszła wichura wojenna, gdzie rozegrała się czterotygodniowa bitwa o Styr, jedna z najkrwawszych i najzawziętszych w tej wojnie.

Mieliśmy do dyspozycji las i silne dłonie, las i popęd samozachowawczy człowieka rzuconego na łono natury, który go prze. do stworzenia sobie własną przemyślnością. jakich takich warunków życia, ochrony przed zimnem, wodą i wiatrem.

Pierwsza zima wojny, spędzona w Karpatach, była próbierzem bitności młodego żołnierza, była szkołą cnót wojskowych, sposobnością doskonalenia się w strzelaniu i ataku, obchodzenia się z różnymi rodzajami broni, w obronie, marszu, patrolowaniu, służbie placówek, terenoznawstwie. Ta druga zima wojny, zima nad Styrem, była szkołą organizacji, szkołą dojrzewania żołnierza w człowieka, który w najprymitywniejszych

warunkach stwarza sobie środowisko znośne, uczy się z siekierą, piłą, kilofem i łopatą w rękę ziemię i las zniewalać, by mu służyły.

Punkt ciężkości rozwoju myśli legionowej na froncie w Karpatach, w pierwszym roku wojny, spoczywał w rozwoju jednostki bojowej, w powstawaniu szeregu indywidualności, o wybitnych uzdolnieniach strategicznych, w fakcie wyłonienia się z korpusu oficerskiego Legionów takich ludzi jak Januszajtis, Roja, Minkiewicz, Mężyński, Siczek, Brzeziński, Bold i Wojnar. Punkt ciężkości w drugim roku, podczas drugiej zimy, spędzonej nie na wiecznych poruszeniach, w ciągłych ruchach ofensywnych, i defensywnych, w przemierzeniu setek kilometrów, lecz w walce pozycyjnej, leżał w wewnętrznym okrzepieniu się żołnierza, w przetwarzaniu się setek indywidualności, zawodów, skłonności i w dostosowaniu się ich do żelaznych norm życia wśród natury, oraz w naginaniu przyrody do własnych potrzeb, w powstaniu polowej gospodarki żołnierskiej.

Wodzowie, ludzie, których przed dwoma laty Polska wielokroć z imienia samego nawet nie znała, nasz korpus oficerski — to wytwór zimy karpackiej; żołnierz, zwyczaj i obyczaj, cnota samopomocy w najcięższych warunkach, sztuka stwarzania sobie środowiska, zabudowania się, urządzenia wewnętrznego schronów, zdolność używania tych narzędzi, które dawniej uważano za zbyt »ciężkie«, to wytwór ostatniej zimy, następstwo wojny pozycyjnej.

Gdyśmy przez niemal półtora roku starali się odmalować psychę wojaka, odtwarzać szczytowe momenta bojowe, wcielające się w czynie górnym, w postaciach dowódców, gdyśmy stale mówili o ofiarach, o wodzach, o jednostkach, to teraz mówić trzeba o żołnierzu, o jego losach, przetwarzaniu się jego, o szarej tej masie, w której nazwiska zaznaczone są tylko na listach kompanijnych, a dostają się do szerszej wiadomości z listy strat.

Żołnierz, ta bezmienna zbiorowość, ustrój jego, dusza i jej przemiany w długotrwałej wojnie, to temat najtrudniejszy..

Poznać naszego żołnierza można z tego, co stworzył w czasach ostatnich na leżach zimowych. Poznać tu można, jaka w nim złożona jest suma wiedzy praktycznej i zdolności urządzania sobie życia w walce z przyrodą.

Obraz leży zimowych musi być konsekwentnie zarazem peanem na cześć żołnierza.



Jeszcze ziemia spowita była w głębokie mroki nocne, gdy w gąszczach leśnych rozpoczynała się praca. Pod osłoną nocy odbywał się dowóz materiału budowlanego na dane punkty pozycji. Szło o to, by wróg ze swych obserwatoryów nie dojrzał ruchu, nie przeszkodził ogniem swej artylerii transportom materiałów. W nocy dowieźć można bardzo daleko. Noc osłania wszystko, stwarza pozorne bezpieczeństwo i swobodę ruchów. Lecz noc, to zarazem także niebezpieczeństwo, tajń, z której nigdy nie wiadomo, co się wyłoni... To też, mimo że spokój na linii, przed nią dzieją się tajemnicze sprawy... Wchodzą chyłkiem w las patrole, ostrzeliwują się placówki, błyska zniecacka ostrze bagnetu wedety, przykucniętej w płytkim rowku, wytężają słuch wywiadowcy rozłożeni tuż pod srebrzącymi rzędami drutów kolczastych, rzucają strugę jasnego światła pistolety świetlne, zakreślają na ciemnym firmamencie półkola reflektory. Linia czuwa...

Lecz tuż za nią czarna noc osłania wytężoną pracę. Padły stare sosny pod uderzeniem siekier, spiłowano kłody w kształtne belki, ociosano gałęzie w smukłe koły. Dowóz materiału musi być ukończony — o ile chodzi o przednią linię — przed świtem.

Poczyna się mozolna praca. Oczywiście, jak i co się robi, tego opisywać tu nie wolno, ale z samych licznych oficjalnych wiadomości wiemy przecie, że powstają punkty oporowe, urządzenia flankowe, że buduje się przyczółki mostowe, rzuca trawersy i baryery, urządza pola minowe, wbija w ziemię rzędy kołków, przez które idzie skomplikowany system drutu kolczastego, ustawia się t. zw. kozły hiszpańskie, kopie się rowy strzeleckie, okrywa się je i wyplata po bokach dla powstrzymania zapadania się piaszczystego gruntu, buduje się strzelnice wedle najnowszych systemów, ustawia stoły dla karabinów maszynowych, wbudowuje armatki mniejszego kalibru, umieszcza reflektory, przyrządy alarmowe itd., itd.

Są to wszystko akcesorya wojny pozycyjnej, zdobycze doświadczeń wojennych, kunszt, który legioniści doprowadzili do perfekcyi. Dziś niema działu umocnień polowych, któregoby legionista nie znał i któregoby własnymi rękoma nie umiał stworzyć. I to jest właśnie najcenniejsze w wychowaniu najmłodszej generacyi. Ta wielostronność, a zarazem duch praktyczny, ta sztuka samopomocy, a zarazem ściślej celowości.

Bo tu, na linii, wszystko jest celowem, tu człowiek uczy się ściśłości i punktualności, symetryi i harmonii. Każdy cen-

tymetr belkowania, każdy metr drutu, każda piędź ziemi ma swe przeznaczenie, swą właściwą miarę, swe samorzędne zasady, do których się dostosować trzeba, jeśli ogólny cel ma być osiągnięty.

Tuż za przednią linią poczyna się owa napoły podziemna, napoły nadziemna, misterna budowa, niby siatka w kunsztowny deseń ułożona, jakby zawily, a w istocie swej prosty system nerwów i naczyń krwionośnych, dróg limfatycznych i żył.

Gdyby przeciętny człowiek mógł spojrzeć na teren bezpośrednio po zajęciu go, a potem w kilka tygodni później, gdy go żołnierz przebudował i przysposobił do wytrwania — przecierałby oczy i pytał: czy jest możliwą ta zupełna przemiana? jak powstał ten labirynt dróg i urządzeń, ten cały skomplikowany aparat?

Poczyna się to — od strony przednich pozycji — systemem rowów, kretowiskiem wielce skomplikowanym, w którym jednak wtajemniczony obraca się z największą łatwością. Tuż za rowami strzeleckimi biegnie rów dobiegowy, do którego przypierają rowy łącznikowe, ku któremu też wije się wążka smuga rowów między punktami oporowymi. Gdzieindziej rowy te są kryte, gdzieindziej znowu misternie prętami wplecione, w pewnych odstępach widać dół głęboki, to zbiornik wody, często musi być wreszcie ponad bagno rzucona kładka.

Poza tą płataniną rowów leżą schrony, lepianki, ziemianki, budy i »pałace«.

Tu z normami ogólnymi, ścisłymi zasadami budownictwa frontowego łączy się gust i smak estetyczny jednostki, ma pole do popisu sprawność i spryt w wyzyskaniu i przetworzeniu materiału i miejsca.

Zrazu niema nic, tylko las gąszczem podszyty, lub stok pagórka, u którego stóp wije się potoczek, lub czerni bagno, a przeciw temu stoi garść młodzieży z narzędziami w silnych dłoniach.

Po kilku dniach fizyognomia tego kawałka ziemi zmienia się gruntownie.

Ziemia rozkopana głęboko, a z krawędzi wykopu sterczą belkowania, szkielet schronu. Teraz poczyna się żmudna praca zabezpieczenia go przed zimnem i wilgocią. Mchy szczerze wbite wypełniają szczeliny, z zewnątrz nasyp ziemny utrudnia dostęp wiatrom, płaski dach okrywa warstwa ziemi, na którą kładzie się deski lub w ich braku gładko ciosane belki, wreszcie na wierzchu przymocowuje się papę.



Teraz można rozpocząć wewnętrzne urządzenie schronu. Wchodzą tu w grę różne »style«, a właściwie różne reminiscencye. Objawiają się one w okrywaniu ścian, w pewnej estetycznej symetryczności, z jaką płachtami namiotowemi czy płótnem workowem obja się strop i dalej w formach tapczanów, stołów, ław, całym szeregu drobiazgów, które stanowią wewnętrzne wyposażenie ziemianki i nadziemnego schronu.

Tam snycerz w szarym mundurze, z reminiscencyi zakopiańskiego stylu zaczerpnąwszy motywów, wyrzeźbił kunsztowne szaragi, lub półeczkę, tu znowu na ścianie widnieje emblemat legionowy, węglem na płótnie wyrysowany, gdzieindziej widać wejście do ziemianki ozdobione zgrabną bramą z białych palików brzoźowych, lub schron obramowano baryerą.

Oczywiście im dalej od przedniej linii — tem i pomieszczenia przestronniejsze i wykwinniejsze, a pomysłowość bujniejsza, bo i czasu więcej i sposobności. Już rezerwy pułkowe mieścić się zwykle mogą w obszernych blokhauzach — podczas gdy bataliony pierwszej obsady pozycyi przebywają, z natury rzeczy, w mniejszych schronach, obliczonych na plutony lub co najwyżej kompanie. Zato dalej w tyle, w rezerwach, gdzie się większa ilość żołnierza ogniskuje na jednym miejscu, budownictwo przybierać poczyna kształty wieloizbowych, a niekiedy i piętrowych domów.

Lecz w ten sposób tylko część linii jest pod dachem, ta mianowicie i to najszacowniejsza, najgłówniejsza część, która się bije. Pozostaje inna, która spełnia też swe zadanie, a obie są ze sobą w tak ścisłym związku przyczyn i skutków, iż bez siebie istnieć nie mogą.

Trzeba więc gdzieś pomieścić treny, magazyny, sztaby, zakłady sanitarne, parki amunicyjne i stajnie.

I oto nowy trud, nowe pole pracy. Tren musi mieć wytyczoną dobrą drogę od toru kolejowego, czy stacyi poborczej aż na sam front, musi mieć dla swego parku wozów i umęczonych pracą koni wygodne i bezpieczne miejsce postoju. Funkcyonaryusze tego olbrzymiego aparatu, zaspakajającego potrzeby materialne frontu, żywiącego tych, którzy gdyby spiżowy mur ostać się muszą przed każdym naporem — muszą rozporządzać wielką pewnością ruchów, przewidująco opanować wszystkie arterye, wiodące z głębi kraju na front, sycić pozycye i karmić je, ubierać ludzi, stwarzać tym, którzy ani czasu, ani możności nie mają, by o swych potrzebach myśleć, warunki bytu.

Znowu tedy pracuje żołnierz, buduje drogi przez uroczy-

ska leśne, wydmy piaszczyste i bagna, zda się, nieprzebyte; rzuca mosty poprzez rzeki i potoki, reguluje dowóz i usuwa przeszkody, usuwa śniegi i błota, kopie ujścia dla stagnujących po długich deszczach wód.

Dopiero gdy ta cała gigantyczna praca ukończona w ogólnych zarysach — w szczegółach i poprawkach bowiem nie kończy się nigdy — wtedy dopiero żołnierz zażywać może spokoju, oczywista, spokoju względnego, spokoju podyktowanego normami wojny i regułami frontu.

Jak spędza się czas na tronie, w walce pozycyjnej, na leżach zimowych?

Jest to również jedną ze stron dodatnich zawodu żołnierskiego, że stwarza on pewną ekonomię czasu, pewien ład i następstwo pracy, iż wciela prawo o zużytkowaniu najmniejszej energii do największych rezultatów, iż wychowuje najmłodszą generację w kierunku wyzyskiwania każdej części doby. Gdzież się podziały te czasy, gdy chłopak wałęsał się, bąki zbijał, zabijał czas, znieprawiał się nieróbstwem? Szkoła regulowała tylko jedną stronę jego życia, stronę intelektualnego rozwoju — próby szkoły wyjścia poza swój właściwy zakres i zatrudnienia młodzieży poza nauką były dotąd sporadyczne i nie udawały się na ogół.

Dopiero żołnierka dała młodzieńcowi zajęcie pełne, zatrudnia go ona wciąż, uczy wyzyskiwania każdego momentu i każdej sposobności. Tapczan jest — więc spać trzeba, bo ktoś wie, czy jutro spać będzie można? Dzień wolny od służby — tedy należy przedsięwziąć gruntowną rewizję stroju. Z małego pudełeczka w plecaku wyjmuje się igłę i zwój nici i guziki i płateczki sukna czy płótna — żadna mama nie pomoże i do krawca posłać również nie sposób. Pochylony nad koszulą czy portkami siedzi chłopak i pracuje praktycznie, celowo. Tak samo z jadłem i napojem, tak samo z czystością naczyń, rynsztunku i schludnością wykwipowania. Nie tylko dlatego, że, jak go dawniej uczono — ładnie się wygląda w czystej koszuli i całych butach, lecz również i dlatego, że w brudnej koszuli gnieździ się robactwo, a niewyglancowane szalki czy manierka rdzewieją — a bez tego niema z czego jeść i pić, zaś następny pobór dopiero za kilka miesięcy...

Więc niema mowy o tem, by żołnierz na froncie mógł nie być zajęтым. Rozprószyć trzeba błędne mniemanie, jakoby



służba wojskowa polegała jeno na walce, jeno na władaniu orężem. Służba wojenna jest szkołą życia, wychowawczynią w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Od świtu do zmierzchu, od wieczora do brzasku legionista ulega żelaznym prawom tego wychowania.

A rezultaty tego wychowania?

Stanisław R., uczeń 7-ej klasy, zaciągnął się w Legiony z najszlachetniejszego porywu swej młodzieńczej duszy. Pamiętam go przed półtora rokiem, gdy miał bladą twarz, cienkie ręce, gdy był układny, zgrabny, gdy musiał zapewne ody Horacego tłumaczyć wyśmienicie i znać zapewne na pamięć wszystkie daty frankońskiej dynastii. Bił się w Karpatach w drugim pułku, przeszedł Maramoroşkie, Nadworniańskie, Huculszczyznę, przemierzył Alpy rodniańskie, przebył śnieżyce na Pristopie i drapał się z karabinem na plecach na wzgórze, otaczające Kirlibabę. Patrolował potem w północnej Bukowinie i strzelał do wroga nad Dniestrem. Przebył służbę wojenną drugiej Brygady, został kapralem i dostał czerwono białą wstążeczkę ze srebrnym medalem, na którym widnieje najpiękniejsze słowo, jakim nazwać można młodzieńca: »Waleczny!« Po pewnym czasie służby frontowej przydzielony został do oddziału telefonicznego, zakładał stacje, ciągnął druty od komend do linii, łączył ze sobą oddziały, biegał w ogniu armatnim wzdłuż frontu, odbierał i podawał dalej rozkazy, przykucnięty gdzieś pod stertą czy w rowie ze swą kasetą i czuwał w długie, zimne noce zimowe przy aparacie. Został plutonowym i komendantem patrolu telefonicznego. Onegdaj odwiedziłem go w ziemiance. Ten wypieszczony chłopak, który »wysyłany« rano do szkoły odrabiał »przedmioty«, po południu robił »preparacje«, a potem szwendał się po plantach, który na pamięć znał programy wszystkich bud kinowych, interesował się Astą Nielsen, a wieczorem kandydował na bawidamka, lub też robił »grzecznego synka«, pociechę tatusia przy rodzinnej kolacyi — w ciągu półtora roku zmężniał i usamodzielniał się. Zbudował sobie i dla swego patrolu ziemiankę własnego stylu, schron, który sam zaprojektował i wykonał, budowlę, do której materiały sam z lasu zwiózł, sam obrobił, ociosał i opiłował, lilipuci pałacyk z wygodnym tapczanem, imponującym piecem, prymitywną umywalką, doskonałą szafą i bardzo kunsztownymi meblami. Wejście do budy umiał rzędem choin, ziemiankę otoczył zgrabnym parkanem, zaś wewnątrz ozdobił przeróżnymi przedmiotami zbytku, własnego pomysłu i własnego wyrobu.

Oczywiście nie należy sobie wyobrazić, jakoby w tem życiu twardem, tych bojach, tem wiecznem pokonywaniu w sobie słabości, miękkości, sentymentów, w tem braniu się za bary z przyrodą, w tej prymitywności otoczenia i pomieszczenia — jałowiał intelekt, gasło zainteresowanie dla kultury.

Przeciwnie. Może nigdy w życiu młodzieńca »amor intellectualis« nie był tak silnym jak na froncie. Odpadły tu wszelkie więzy przymusu, które dawniej go opasywały. Odpadły te szyny, po których wózek jego intelektualny pchano od stacyi do stacyi, od klasy do klasy, od szkoły do szkoły.

Walka polityczna zwłaszcza sprzyja lekturze i to głównie w zimie, gdy mgły z oparzelisk rozwioką się po borze, a czarne opony nocy zasnują widok. Wówczas w ziemiankach pojawiają się światełka i pochylony nad książką czy gazetą legionista czyta... O kilkaset kroków przed nim cstrzeliwują się placówki, o kilkadziesiąt przed strzelnicami wartuje jako pogotowie część załogi — ale większość w schronach. »Menaż« wieczorna już pobrana — poczyną się długi, długi wieczór zimowy... Tu zebrała się garść »relutonów« i przy akompaniamencie mandoliny wyspiewuje to smętne, to łobuzowskie pieśni, tam zebrała się partya szachów i koncertują na szachownicy dwaj mistrze, otoczeni wieńcem postaci mentorujących, wścibskich, lub kąśliwych, a tam na tapczanie, pod derkami śpi kilku skulonych, którzy dopiero co wrócili ze służby, z wedet i strzelnic, i największy rozgwar w ziemiance ich nie zbudził!

Koło żelaznego piecyka polowego, którego krwawy blask przedziera się przez cienie ziemianki, trzymając świeczkę w rękę, siedzi legionista i czyta... Na twarzy przejęcie... w oczach, wodzących po zadrukowanym papierze, błyski... Cóż go obchodzi w tej chwili strzały patroli, rozgwar placówek w przedpolu, hałasy w ziemiance, brzękanie mandoliny i chrapanie śpiących towarzyszków?

Uleciał w świat dziwów, jakie rozsuwa przed jego duszą książka, lub w to rojowisko interesów i taktów dalekich, o których wieści na front przychodzą wraz z gazetą, choćby starszej daty, choćby taką, którą w »Hinterlandzie« opakowuje się masło...

Książki i gazety są jedną z najistotniejszych przyjemności życia na froncie.

I dlatego też rozrywane są np. »Popioły« Żeromskiego (bo ileż analogii nasuwa druga połowa 1-go tomu) — lub »Pan Wołodyjowski«, co to szedł na rubieżę Rzeczypospolitej szlakiem



bukowińsko-besarabskim. — Lecz i »Ludzie bezdomni« Zycha i »Ludzie podziemni« Struga i najnowsza literatura polityczna i wydawnictwa biur Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie i Departamentu Wojskowego w Piotrkowie — są gośćmi, przed którymi na oścież otwierają się podwoje ziemianki.

Legionista kształci się i czyta, uczy i rozkoszuje lekturą — bo mu tych emocyi trzeba, bo są one naturalnym wynikiem dążeń młodej duszy. Nigdy może chłopak, który setki romanseidel przewertował, z taką intensywnością książki nie przeczytał, jak teraz, gdy ma na sobie mundur legionisty, i przy świeczce, na tapczanie, w czarnym kącie ziemianki, głowę wsparwszy, wgłębia się w dzieło historyczne, czy dobrą powieść. Nigdy przed wojną chłopak z gazety czy broszury tyle treści nia wyciągał, takich wątków rozmyślań nie wysnuwał — jak na froncie.

Jeśli chodzi o ilość konsumpcyi drukowanego słowa, o powierzchniowe odczytanie, o wszędobylstwo na polu starej i nowej literatury czy publicystyki — to rzecz oczywista, że przed wojną więcej taki chłopak czytał, ale jeśli chodzi o intensywność lektury, o osadzenie się myśli, wysnutych z niej i o sam kierunek tej lektury, to stanowczo wyższość ma ta, jaką się dziś inteligentna warstwa legionistów na froncie karmi.

A czasu jest dość.

Leże zimowe sprzyja fizycznemu i etycznemu wychowaniu, bogaceniu się w wiedzę praktyczną i wielkie zasoby hartu, powagę, ekonomię czasu i wyrobienie intelektualne.



## Śpiewający las

Kiedy mroki już całkiem zgęstniały, poczęło się święto.

Więcej było świątecznego nastroju wewnątrz, w duszach, niż na zewnątrz, w kurnych chatach poleskiej wioszczyny, w ziemiankach i lepiankach, schronach i rowach. Trudno na wojnie przygotowywać i urządzać święta... Można »menaż« nieco poprawić, najeść się łakoci, przysłanych przez Ligę Kobiet, ubrać w szalik włóczkowy lub mitynki, sporządzone małą rączką uczennicy, która od jesieni szydełkowała i haftowała i radowała się myślą, że to przecież nosić będzie w mroźną zimę legionista... Irenko Korzeniowska z Chrzanowa, uczennico III klasy szkoły ludowej 4 klasowej, śliczna dziewczynko z szydełkiem w jednej ręce a zwojem szarej włóczki w drugiej — jakżem się ucieszył tą śliczną kominiarką, którą znalazłem w paczce darów gwiazdkowych, wylosowanych z pośród tysiąca... Ciepło bije z tej kominiarki, sporządzonej małą rączką, jak ciepły wiew czystej duszyczki dziewczęcej...

Kiedy mroki już całkiem zgęstniały, poczęło się święto.

Rok temu byliśmy jeszcze w Karpatach, na przełęczy oekoermezkiej — dziś hen daleko zostały za nami góry, Galicya, cała Polska. Rok temu myśl ulatywała ku Lwowu, zostającemu w ręku najeźdźcy, ku walącym pod Krakowem armatom, ku wyczekującej dziejowej chwili Warszawie, ku spętanym żelazną obręczą nurtom Wisły, Dniestru, Sanu i Bugu. Dziś wszystko oswobodzone ze szponów wroga.

Kiedy mroki już całkiem zgęstniały, zebrały się gromadki na wieczrę i śpiewy. Żołnierz, gdy się raduje — śpiewa.



Jedyny to sposób wyładowania uczuć i tęsknot, możność odbieżenia od twardej rzeczywistości. W śpiewie żołnierza — w melodyi, nie w treści — mieści się cała jego duchowa wartość, uzewnętrzniają się wszystkie cechy duszy, podciągniętej, w służbie polowej, pod strychulec niwelujący. Dlatego żołnierz, gdy tylko zdarzy się okazja — śpiewa.

Północ się zbliżała, gdyśmy z porucznikiem Górką wsiedli na koń i ruszyli wzdłuż frontu. Białe śniegi jaśniały wokół na dalekiej łące, przez którą przejechać trzeba, by się dostać w las.

Cisza była wokół skupiona, a las ciemny widniał przed nami, pełen tajemnic. Jeszcze kilka minut i bór ten poleski wchłonie nas...

Zwalniamy i wązką drożyną wjeżdżamy między drzewa. Tu i ówdzie muśnie twarz wystająca gałąź i strzęsie na rozgrzaną kłusem skórę płat śniegu, tu i ówdzie błysnie biel polany leśnej i zasrebrzeje moczar.

Nagie poprzez pnie i konary, krzewy u stóp świerków rosnące i wodorosty na bagnach nadstyryskich, poprzez mokradła i uroczyiska przedzierać się poczęły jakieś szepty, szmery, jakieś głosy i tony...

Zrazu były ciche, jakby kto tłumikiem nakrywszy struny skrzypiec, w ciemność słał łkania rzewne...

Jedziemy stępa coraz głębiej w las i coraz głośniejszą staje się muzyka, coraz więcej drzew i krzewów gra, pełniejsze coraz płyną tony...

Nie widać źródła głosu, nie widać wogóle niczego prócz boru i śniegu, nieba i czarnych opon przed oczami. A mimo to las gra. Gra coraz szerzej i głębiej, śpiewa coraz głośniej i pełniej...

Konie nasze stąpają jakby w takt. Wstrzymujemy oddechy... Lasem płynie kolęda »Lulaj że, lulaj!«...

Wierzchołki drzew pochylały swe ośnieżone głowy miarowo, w takt pieśni poruszały się chude ramiona konarów, tańczyły błyski po śniegu.

Już las rzędzie, już widać przerzedzone ostępy, już jesteśmy w pobliżu ziemianek, okopów, już dojrzeć można techniczne urządzenia frontu, pozwalane kłody, zasieki i przeszkody, błyszczeń poczynają rzędy drutów kolczastych, migotają gdzieś niegdzie światełka schronów, w których gromadki legionistów w noc wigilijną wyśpiewywały kolędę...

## Dzień patrona Żegoty.

Było to w marcu 1915. Pod Bortnikami. Pod koniec zimowej kampanii karpackiej.

Drugi pułk stał na wzniesieniu za wsią i z największym wyężeniem, najsilniejszym naprężeniem woli i energii trzymał pozycje przeciw wrogowi, znajdującemu się w Korolówce i Grusce. Od połowy stycznia do połowy marca, a więc przez pełne dwa miesiące — bojował on przy nieprzerwanych mrozach na przestrzeni od Kirlibaby aż po linię Dniestru...

Mrozy w marcu ścisnęły ziemię, śniegi zasypały drogi, a tu dzień w dzień, tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc — boje, marsze, potyczki i patrole, od świtu po zmierzch, nawet z nocą często ryzykowne przedsięwzięcia, śmiałe zasadzki, sprytnie przesunięcia sił. Wszystko to odbywało się ciągle bez względu na przemęczenie, wyczerpanie, mimo znacznego stopnienia stanu prezencyjnego skutkiem ran, odmrożeń, śmierci...

Dnia 7 marca ledwo świt szliśmy ze wsi Bortniki z pułkownikiem Zielińskim i kapitanem Zagórskim na płaskowyż, na którym znajdowała się nasza linia. Było coś około 5-tej z rana. Śniegi opalizowały, dal zasnuta była fioletami; siarczysty mróz parzył twarz; grudy zlodowaciałego śniegu chrzęściły pod nogami.

Widzimy na wzgórzu kilka szarych postaci. To kowodanci oddziałów oczekują pułkownika Zielińskiego. Jest kapitan Kossakowski, kapitan Baczyński, porucznik Siczek i jeszcze kilku oficerów. Na widok zbliżającego się pułkownika Zielińskiego — którego przez całą zimę karpacką każdy legionista



drugiej Brygady z daleka poznać mógł po zielonym płaszczu gumowym, narzuconym na futro — grupa oficerów ustawia się szybko w rząd, na kraju stoi — major Żegota Januszajtis.

Każdy wie, co w tej chwili nastąpi. Stary Zieliński odbędzie codzienną konferencję z komendantami oddziałów, wyda rozkazy, dyspozycje, wyjaśni zadanie dnia i sposób jego przeprowadzenia właściwem sobie jędrnem słowem, wiążącym się w zdanie o popularnych zwrotach, wypowiedziane z mazurska, z akcentem wybijającym każde wyrażenie.

Lecz dziś, stary coś zmienia program. Nie zaczyna od wyciągnięcia karty specjalnej z kieszeni, nadziania okularów na nos i stereotypowych słów, będących zawsze wstępem do dyspozycji: »Widzi pon, panie kapitanie, tę wieś tam... Weźmie pon dwie kompanie i weźmie tę wieś« i t. d. — lecz wzięwszy za rękę majora Żegotę Januszajtisa poczyną mu dziękować za wytrwanie, przykład, męstwo i inicjatywę...

Jest dwadzieścia stopni mrozu, a jakiś ciepły wiew ogarnia nas wszystkich...

Oto stoją naprzeciw siebie dwaj ludzie: jeden stary, zeszedły, po czterdziestoletniej służbie oficerskiej widzący wciele nie marzeń, które piastował w sercu od leutnanta po pułkownikowskie czasy: wojsko narodowe — drugi młody, junacki, krzepki, dwudziestosiedmioletni, pełen sił, tryskający życiem i w krótkiej kurtce z nastroszonym płowem futerkiem na kołnierzu wyglądający na młodego lwa...

Stary Zieliński kończy:

— Panowie oficerowie! Oto przykład dla wszystkich, oto wzór oficera polskiego, oto mój następca w komendzie pułku, gdy mię zabraknie...

Poczem ujął obiema rękami głowę Żegoty i ucałował go w czoło, jak ojciec syna.

Już koniec ...i nagle, swym brachylogicznym stylem, swemi jędrnemi powiedzeniami zaczyna tłumaczyć pułkownik Zieliński pierwszemu z brzegu oficerowi zadanie dnia. Już cały przejęty jest jego ważnością, już o niczem innem myśleć nie zdoln...

Gdy pułkownik Zieliński otrzymał komendę grupy Legionów — wziął po nim Żegota pułk.

Pułk to znamienity, pułk, który może najwięcej przebył i doświadczył.

Oczyszczał Maramoroskie z kozactwa, przedzierał się przez Pantyr w Nadwórniańskie, był pod Mołotkowem, wniknął w zwycięskim pochodzie w Huculsczyznę, trzymał przełęcz Łoekoermezką, zdobył Kirlibabę, doszedł od południowej Bukowiny po linię Dniestru, urządził pchnięcie ofenzywne od Prutu w głąb Besarabii.

Pułk tedy prowadził Januszajtis, odparł pięć szturmów na Rarańcze, wziął więcej jeńców w ciągu jednego przedpołudnia, niż sam miał żołnierzy, trzymał w wielomiesięcznej walce pozycyjnej pozycje na pograniczu besarabskim, wybudował takie umocnienia polowe, iż oparły się najzawziętym szturmom nieprzyjacielskim, dokazywał nad Styrem, pod Lissowem, Bielgowem i Czartoryskiem cudów inicjatywy, waleczności, pomysłowości, wreszcie urządził pozycje i leże zimowe na Polesiu.

Lecz Żegota - Januszajtis jest nie tylko wybitnym wodzem, napoleońską postacią, pułkownikiem w 27 roku życia, wybitnym teoretykiem i znakomitym praktykiem, człowiekiem, który — jak się wyraził o nim jeden z wyższych komendantów — »czuje wroga, wietrzy jego siłę i zamiary, by je unicestwić«, nie tylko żołnierzem, którego szczęście w najkrytyczniejszych momentach stało się już przysłowiem. Zaprawdę, inny byłby już z pewnością ranny, czy zabity, czy w niewoli, a on z każdej bitwy wynosi tylko przedziurawione kulami wyloty płaszcza, czy czapki...

Januszajtis obok tego wszystkiego jest też wybitnym człowiekiem, poważną osobistością, wielką indywidualnością. I to jest najznamienniejsze, najbardziej w nim interesujące. Są ludzie żołnierze z urodzenia, talenta wojskowe, Januszajtis jest takim i jednocześnie czemś więcej jeszcze. W 27 roku życia jest już pełnym człowiekiem, rozważnym statystą, myślicielem, głową, która sama określa swój stosunek do otoczenia, a nie bieży utartym torem, przeciwnie, sama określa swe stanowisko wobec różnych spraw i to nie tylko spraw natury militarnej.

Jest to człowiek świadom środków i celów, głęboko zastanawiający się nad problematami, nurtującym społeczeństwo, wążący każde słowo, człowiek, który każdą sprawę analizuje skalpelem bystrej, ostrej, wnikliwej krytyki, który panuje nad swą wolą, zaś gdy wolę swą raz objawi, to do jej urzeczywistnienia dojść ma siłą.

Promieniuje zeń ta powaga, która otoczenie zniewala. Jest to tem znamienniejszem, że przy 27 latach życia trudno zniewalać, trudno znajdować bezwzględny posłuch, trudno wnosić w szerokie koła taką autorytatywność, iżby na podleganie jej



godzili się ludzie o bogatszej wiedzy czy doświadczeniach życiowych.

A jednak tak jest. Januszajtisa ludzie słuchają nie tylko wtedy, gdy jako komendant rozkazuje (to jest rzeczą naturalną i nie może być inaczej), lecz słuchają go także ci, którymi nie komenderuje, nad którymi prawa rozkazodawstwa nie ma, ulegając samej jeno sile wielkiej indywidualności, przejmując się zaufaniem doń i wierząc mu.

To też wielkim jest wpływ jego na korpus oficerski, nie tylko z racji pułkownikostwa, wysokiej komendy wojskowej. Jest on reprezentywną postacią oficera polskiego, głową zrzeszenia, które nawet nie wie o tem, że jest zrzeszeniem, bo nie związało się żadnymi specjalnymi interesami, nie pozostaje do siebie w stosunku jakiejś ideowej czy innej zależności—a jednak żyje przywiązaniem doń, uważa go za najlepszy typ młodej generacji polskiej, wierzy w jego czystość i uczciwość etyczną, w wysoki polot i programowość każdego słowa i czynu.

Wyrazem wielkiego respektu a zarazem manifestacją, iż go korpus oficerski Legionów uważa za pierwszego legionistę, za swój pierwowzór—był dzień imienin Żegoty Maryana, dzień 2 lutego 1915 roku.

Wieczorem, gdy prace dnia były pokończone i zarządzenia na noc wydane, zebrał się korpus oficerski w ziemiance komendy pierwszego batalionu drugiego pułku, tego baonu czołowego, który Januszajtis wyprowadził z Krakowa, z którym przebył boje karpackie, zanim objął pułk cały.

Przestronna ziemianka udekorowana była festonami z gałęzi świerkowych. Na miniaturowem podyum o wyglądzie ściśle wojennym, otoczonem drutami kolczastymi i baryerką drewnianą, ponad misternie zbudowaną miniaturą przyczółka okopu widniał portret Januszajtisa.

Małą salkę szczelnie wypełnili oficerowie i to nietylko podkomendni pułkownika. Z komendy Brygady przyszli porucznicy Iwanowski i Płatowski, z trzeciego pułku podpułkownik Minkiewicz z porucznikiem Fijałkowskim, z czwartego pułku major Galica z gronem oficerów, z artyleryi major Brzoza i porucznicy Bold i Łapicki.

Uroczystość rozpoczęła się od kantaty. Stał chór na podium i popłynęło z silnych, męskich piersi:

Z Ojczyzny my poszli od matek i dziew,  
Przez góry rąbaliśmy wrota,  
Otuchą nas poił, jak z Polski cud — wiew,  
    Żegota, pułkownik Żegota!  
Gdy Polski Moskale chcą wydrzeć nam próg,  
Gdy wraza napiera hołota,  
Na wrogów wnet spada i niszczy jak bóg  
    Żegota, pułkownik Żegota!  
Do wolnej Ojczyzny, do świętych jej bram,  
Od zdrady już wolnej i błota,  
Prowadzi nas zawsze, prowadzi nas sam  
    Żegota, pułkownik Żegota!

Chóru o piękniejszym, czcigodniejszym składzie nie znalazłbyś w całej Polsce jak długa i szeroka. Bo oto śpiewają, kapitan Mężyński, porucznik Siczek, porucznik Szuster-Kruk, chorąży Król, sierżant Audykowski, sierżant Zadębski i plutonowy Rychlewski — męże wypróbowani w boju.

A potem reluton odczytuje wzruszający i prostotą podbijający poemat, orkiestra mandolinowa z kolumny amunicyjnej wygrywa wiązanekę melodyi legionowych, a chór odśpiewuje szereg pieśni. Potem hołd, złożony przez cały pułk swemu komendantowi przez usta kapitana Mężyńskiego, następcy Januszajtisa w dowództwie pierwszego batalionu.

Wychodzimy z ziemianki na fetę, urządzoną w pobliskim schronie przez oficerów batalionu i nagle rozbrzmiewają w ciemności tuż przed migocącymi drutami kolczastymi głosy instrumentów dętych. To podpułkownik Norwid przysłał muzykę szóstego pułku, by uświetniła nasz obchód i nieprzyjacielowi, przysłuchującemu się o jakich paręsetkroków stąd tym niezwykle w okopach dźwiękom, dała podwójne wrażenia słuchowe, odgłos karabinów placówek naszych i odgłos dźwięków polskiej pieśni legionowej...

Niech wiedzą, że się radujemy, że święto mamy w duszach!



## Jasełka

Zaczęli od krakowskiej szopki a doprowadzili do jasełek, zaczęli od figurynek na scenie, sporządzonej ze skrzynki amunicyjnej, od wycinanek kolorowego papieru, od przyśpiewów w noc wigilijną. Trzech relutonów przebrało się jak się patrzy, jeden za króla, w cynfoliową naszywkę na śniegowym płaszczu, w tekturową białą koronę i podoficerskie portepée przy długim szabliśku, drugi zaś za czarnego kędzierzawego żyda, a trzeci za kłapiącego dwiema deszczułkami, gdyby paszczą zwierza. Czwarty niósł na długim palu wielobarwną latarnię i obracał nią gdyby gwiazdą... Jako asysta szli dwaj relutoni, jeden przygrywał na ręcznej harmonii z mieszka instrumentu wydobywając przeciągłe pienia kolęd i skoczne, rzeźkie tony marszów, drugi zaś służył do »szczególnych poruczeń.« Zbierał traktament, rozdzielał między towarzyszków wódeczność i etapinera, odpierał gapiów, robił mistrza ceremonii i nosił na ramieniu szopkę od schronu do schronu, od kwatery do kwatery...

Dobrze się działo tej garści relutonów, bo szopka okrążyła pozycye w noc wigilijną, w noc sylwestrową i w Trzech Króli. Przybywało wciąż śpiewek aktualnych i mnożyły się alokucyje, znalazły się też dowcipne odpowiedzi na przycinki ze strony widzów i inne ucieszne intermezza.

Z szopki tej urodził się teatr, zupełnie jak w zamierzchłej przeszłości, jak w naturalnym rozwoju teatru, który powstał z przedstawień wigilijnych i wielkanocnych, z pobożnej a jowialnej jednocześnie improwizacyi.

Z »szopki« z figurynek papierowych powstały »jasełka«, odgrywane przez ludzi, a z tej zabawy utworzył się teatr, tak powstała scena. Betleem polskie...

Sami w swej pobożnej naiwności nie wiedzieliście, rełutoni mili, w ziemiance nad Styrem twórcy »Betleem polskie«, wśród dolatujących ech ostrzeliwujących się placówek wyczarowujący wizyę stajenki, Matki Bożej, pokłonu królów i pastuszków — sami nie wiedzieliście, w jak głębokie pokłady duszy zbiorowej sięgacie, jak głębokie ujawniacie symbole...

Batalion Dziekanowskiego, drugi drugiego pułku rozgospodarował się jako rezerwa Brygady. Od popalonej, poniszczonej wioszczyny poleskiej wiedzie na przełaj droga polna ku borowi, położonemu nad mokradłami i przerzynamemu skrętami bagnistego potoku. Batalion rozsiadł się w tym borze.

Jeden ze schronów służyć miał za »teatr polowy«. Zbudowali go legioniści bardzo przemyślnie, wykopali dłuższe i szersze niż zwykle wydrążenie, otoczyli palisadą belek, ułożyli płaskie belkowanie jako dach, nanieśli mchu i wrzосу dla uszczelnienia ścian i gmach teatralny był gotów.

Pozostało urządzić wnętrze. I to z największą łatwością udało się uskuteczyć. Stare wory, zużyte płachty wozowe i stare namioty użyte zostały dla przegrodzenia kurtyną widowni, choiłą obstawiona scena musiała dawać tyle złudzenia, ile jej każdy z widzów potrzebował, zaś drzewa na ławy dość było w lesie.

Zbiera się najszacowniejsza publiczność, jaką kiedykolwiek teatr oglądał. W pierwszych rzędach pan pułkownik i korpus oficerski, po bokach i wieńcem dokoła ścian żołnierze. Dawniej się do teatru chadzało z rodziną w niedzielę po południu, lub kolegami w przeddzień święta... W odświętnym stroju szło się na »Kościszkę« lub zgoła »Wesołą wdówkę.« Teraz, od ośmiastu miesięcy, chłopcy ci są sami aktorami największego dramatu, jaki świat zna, najgigantyczniejszego zmagania się sił Europy.

Jasełka się rozpoczynają...

Pastuszkowie się budzą... Z poza kożucha przeziera szara bluzka legionisty, ten ma zawijaki zielone, a tamtemu znów ładownica jeszcze u pasa widoczna... Nic to! Są pastuszkami w tej chwili i mówią z niewymowną prostotą i wielką nieporadnością wiersze Rydla. Potem zdała zorza i łuna wschodzi



nad Betleem. Widać ręczne lampki elektryczne, pożyczone u oficerów a przysłonione czerwonym przezroczystym papierkiem. Nic to! Wschodzi dzień Narodzin, barwi zorza nieboskłon i przenosi dusze setki żołnierzy polskich, cisnących się w ziemiance nad Styrem, na skrzydłach wyobraźni hen poza Bug i poza Wisłę i poza siódmą górę i rzekę...

Potem zbierają się pastuszkowie u stóp dziecięcy... Stoi Matka Boża u żłóbka w stajence. Młodziutkiego chłopaka, najmłodszego z legionistów o dziewczęcej, czystej twarzyczce, przebrano w strój z obrazu w Częstochowie... Biją pokłon pasterze, przesuwają się przez stajenkę królowie, rycerze, zjawia się kosynier kościuszkowski i uczestnik powstania...

Wszystko tak, jak w typowych »Jasełkach«. Jeno tu bezpośredniość wrażeń i złuda stokroć jeszcze większe. Bo otoczenie prymitywne, stajenka prosta, tak prawdziwa, belki grubo ciosane, a zapach żywicy i siana unosi się wszędy, światelko zaś lampki tak skąpe i biedniutkie...

Wreszcie staje się coś, co drżenie wywołuje — do stajenki betleemskiej płynie nowa zjawa, korzy się i pokłon bije...

Siedzimy na ławach schronu, w ciemność otuleni, a serca biją jak młoty i najbardziej zahartowani oficerowie drżą...

Do stajenki betleemskiej wchodzi Legionista...

Szary na nim mundur, pas żołnierski, ładownice u boku, a na rogatej czapce migocze w świetle lampki polski orzełek...

Staje legionista u żłóbka i poważnym prawi głosem:

»Panie niebieskiego dworu!  
Pod naszym brygadyerem  
Z bronią w garści twardo stoję,  
Broniąc polskiego honoru.  
Jak tej Ojczyzny, co zmarła,  
Twoim jestem żołnierzem,  
Tak nam daj, niechaj odbierzem,  
Co nam obca moc wydarła«.

... i składa swój karabin w głębokim pokłonie i hołdzie u stóp żłóbka...

W tej chwili wydaje nam się, że snop światła padł w mroki widowni, mamy nagły błysk oświecenia, jasność wielka w sercu i duszy...

Wszyscy w tej chwili czujemy, że oto legionista przechodzi do historii, że stał się stałą, niezniszczalną postacią w dziejach tego świata i tego narodu, że sam określił swój stosunek

do zapoczątkowanej nowożytnymi dziejami idei i że odtąd, gdy sięgać będziemy myślą poprzez cały nasz rozwój, poprzez Piasty, Jagiellony, poprzez kosynierów Kościuszki i sybirskich męczenników, poprzez szereg powstań, na końcu łańcucha zjaw pojawi się.

Wszyscy w tej chwili odczuliśmy, że to narodziny historycznej postaci...

Zebrali się widzowie na Jasełka, na przedstawienie tej chwili, w której nowy świat, nowe dzieje się zaczęły — a oto stali się świadkami narodzin nowej, mocnej postaci, która odtąd przeszła w stan posiadania narodowego dziejów. Tą nową wartością stał się w oczach naszych — Legionista i zaprawdę — Jasełek bez niego już w Polsce nie będzie.

---



## Między Styrem a Stochodem

### I.

Widzieliśmy je odlatujące jesienią, gdyśmy, z besarabskiego frontu rzućeni na trzęsawiska poleskie, kończyli roboty I i III Brygady, zdobywali Biełgów, Kościuchnowkę. Wtedy, szybując pomiędzy różowemi chmurkami szrapnelowemi, dziwiąc się kłopotom karabinów maszynowych, boćki opuszczały Polesie, widownię czterotygodniowej jesiennej walki o Czartorysk, o wstęgę Styru.

Myśmy zostali, okopali się, zadomowili i zagospodarowali. Zdradne gęstwiny, głębie świerkowego lasu, zagajniki u wylotów moczarów pełne były zbrojnego ludu, utajonego w podziemnym labiryncie. Poczęła się robota. Redutę Piłsudskiego zbudowały pracowite ręce legionistów II-ej Brygady. Powstała linia obronna, nad której doskonaleniem pracowano przez całą zimę i o której pokruszenie napróżno wróg pokusił się w pierwszych dniach czerwcowych.

Aż przyszła wiosna. Dookoła począł drzeć od wiosennych wiewów mur konarów, promienie słońca coraz dłużej rozdzierały ciemnie zielonych świerków, na polanach wzorzyły się już kobierce roślin, wiosenny szafran, narcyz łąkowy, mieczyk, płomień bagien, przylaszczka ścieliły się wśród gniazd mchu. Czapła i kurka wodna przelatywać poczęły od bagnisk do bagnisk. Ledwo świt, po lesie szły tokowania i nawoływania, w porębach poczynano się robić głośno, z drzew buchało żywiczną wonią.

Przyleciały wreszcie bociany. Na strzechach Wilczecka i Lisowa jeszcze się zadomowić mogły. Ale dalej ku frontowi?

Tu wionęło pustką... Kościuchnowka, którą jesienią opuścili właśnie, gdy walki dochodziły kulminacyjnego momentu, gdy nad wsią rozwierało się piekło skombinowanego ognia — stała się jeno geograficznym pojęciem. W szczątki wsi, sterczące jakby piszczele olbrzymiego szkieletu, płynęły strugi wiosennego światła, przejaskrawiając jeszcze obraz zniszczenia: poprzez jamy, wyłomy, szczeliny widać puste przestrzenie, zasypane belkowaniem do połowy przepalonym, odłamkami wszelkiego rodzaju; zburzone strzechy zastępuje płachta nieba: niektóre narożniki ponadwyrężane armatnimi pociskami, zachowały się jeszcze jako tako i z daleka nadawały zwaliskom wyraz pewnej malowniczej całości.

Boćki próżno szukają swych gniazd... tak jak w przepięknym wierszu Edwarda Słońskiego:

>Za lasem grają armaty  
A po wsi ledwie rozednieje  
chodzi od chaty  
wiatr, który w oczy wciąż wieje...  
A tam, jak jakieś organy,  
armaty grają i grają...  
Na wiosnę polskie bociany  
swych polskich gniazd nie poznają...

Z okopów naszych, z redut, pod zwaliska wsi, idzie patrol nasz... Dziwnie podnieceni są tym razem nasi chłopcy. Skradają się, nie bacząc na ostrzeliwanie przez placówkę rosyjską. Przypętlali do zwalisk i — budują gniazdo bocianie. Niechby i ten wieczny ptak wsi polskiej miał swój kąt, swe łożo macierzyńskie. Granat rozbił zeszej jesieni chałupę i zniweczył gniazdo — oto dwaj relutoni dokonują odbudowy...

Z obrzeży lasu szedł zapach zroszonych ośmin, wonie ziół, głęboko oddychała ziemia, budziła się przyroda — a dwaj legionieści tuż przed placówką rosyjską budowali gniazdo...

Tak poczęliśmy wiosnę roku 1916-go na froncie.

Pod koniec kwietnia dokonano się przesunięcie naszych sił, I-sza Brygada poszła w nasze okopy, obejmując gotowe już pozycje, wykończoną i umocnioną redutę, gotowe schrony i ziemianki — II-ga Brygada ruszyła do wsi Karasina, miejsca postoju I-ej Brygady przez całą zimę.

Po przeszło 12-miesięcznym, nieprzerwanym pobycie na pierwszej linii, w okopach, dostali się legionieści II-ej Brygady na krótki czas poza linię strzału, opuścili okopy, zamieszkali w zabudowaniach nadziemnych.



Gdy czuby drzew zapłonęły od purpury zachodzącego słońca, opuściliśmy linię, którą jesienią 1915 r. sami sobie zdobyliśmy, którą potem mimo nacisku przez pół roku utrzymaliśmy, którą uformowaliśmy, gdyby opokę.

Ciężkie było rozstanie z terenem, który II-a Brygada przed miesiącami krwią swą i nadzwyczajnym wysiłkiem zdobyła. Żołnierz przywiązuje się do swych rowów strzeleckich, swych placówek nawet, swych ziemianek. Zwłaszcza, gdy są własnem jego dziełem. I gdy pójść mu z nich każą choćby w tył, w miejsca zamieszkaane, pod dach, żal mu opuszczać okopy, żal mu opuszczać linię ufortyfikowaną.

Ale nie żal i nie ochota decyduje — jeno rozkaz.

Maj spędziliśmy sielsko. Hej! jak dawno nie używało się rozkoszy, jakie nas czekały. Szerokie pastwiska i zagajniki, których pieszczotliwe ćwierkania leśnej braci i te nucenia pod wieczór plutonu, i te odgłosy harmonijek ręcznych — kiedy zwiesna w domu u matuli... Żołnierz nasz wywczasował się.

Ale nie próżnował. Ledwo świt — zbiórka. Wymarsz na musztrę — ćwiczenia polowe wśród śpiewu, przytupywania w takt marszu, a potem w południe pełna misa i gwar na kwaterach, a potem używanie życia, rozkosz sportu, ruchu. Dokoła moc rybnych stawów. Pluskają szczupaki, goniące leniwie karpie, na kraje stawów w księżycowe noce dopływa mnóstwo raków. Więc znalazły się i wężycze i podrywki i saki i wędkie, więc zaroily się stawy czajkami i czółenkami i tratawkami. A po lasach moc dzikiego ptactwa, na mokradłach rokitniańskich cietrzewie, kaczki i słomki. Było na czem używać, do czego zapolować. A dookoła domostw ogródki warzywne, pieczołowicie ręką żołnierską uprawiane, w mig zaimprovizowano narzędzia rolnicze, znalazły się motyki i łopatkki, rydle i grabie, nasion i sadzonek dostarczono — i dookoła kurnych chat, w biedocie opuszczonej wioszczyny wykwitły schludne grządki, a hen, po polach już dzwonią kosy, już zbiera się trawę dla koni, już po pastwiskach uganiają nasze wierzchowce... Przez miesiąc spokoju przeorganizowaliśmy brygadę, zwiększyliśmy spistość wewnętrzną poszczególnych oddziałów, oporządziliśmy się, wykapali, przebrali, uzupełnili rynsztunek i amunicję.

A przytem kilkakroć mogliśmy użyć święta dowoli dla podniesienia ducha.

3-go maja na polanę leśną wkroczyła kolumna, dookoła ołtarza polowego ustawił się czworobok, a trębacz srebrną strugę dźwięków rzucił w błękit i znów na podwyższeniu stanął

nasz ksiądz Antosz i znów płomienną swą wymową rzucił w serca słowa nadziei i siły. A w każdym snuły się wspomnienia: tak rok temu, 3-go maja, także w polu na pograniczu besarabskiem — czyż to nie sen? Tyle czasu uciekło? Znów jesteśmy w dawnym składzie, starzy Karpatczycy, oba nasze pułki i Januszajtis i Minkiewicz przed nimi i znów idzie lato ciężkich zmaganiań u granic etnograficznych.

10-go maja sprosił nas Roja w swe osiedle i hucznie i podniośle obchodzimy święto czwartaków — braci, co z drugiej Brygady przed rokiem wyszedłszy, rozszerzyli zakres pułkowy Legionów o tak mocną jednostkę. Ten-ci sam nasz Roja z drugiej Brygady, co to z Rafajłowszczyzny w październiku wysunął się sam pod Stanisławów i ci sami jego oficerowie, co to u północnych stoków Karpat zewsząd otoczeni wrogiem przetrwali zimę i nie dali Rafajłowszczyzny, choć w nią wgryzał się wróg z gwałtownością i uporem.

Mijał zwolna cudny maj, zakwitło dookoła, pobujniały pola, dojrzewać poczęły jarzyny, poszycie lasu stawało się coraz gęstsze, okwitać poczęły ziemniaki, bławaty i maki kraśniały wśród żytowisk, z piachów szły kłęby unoszone wiatrem, bagna podsychały.

I w tym momencie rozkwitu w przyrodzie, pełni życia — póżliśmy w bój, ruszyła II-ga Brygada na linię. Wróg naciął cały front od Styru po Prut, począł swą ofensywę. Idylla majowa skończyła się dla nas. Ledwo pierwsze strzały formacyi nieprzyjacielskich, szukających na kilkuset kilometrowej przestrzeni miejsca do uczynienia wyłomu, padły, otrzymaliśmy rozkaz wymarszu, zbliżenia się pod sam front, wartowania z bronią u nogi, by w danej chwili w zagrożony skoczyć punkt.

Brygada otrzymała trudne, żmudne i wyczerpujące zadanie. Gdy nasi towarzysze z pierwszej i trzeciej Brygady mieli swój stały odcinek, stałą linię obronną — my stanowiliśmy rezerwę, której przeznaczeniem było stawać u wyłomu, przebiegać z flanki na flankę, być przerzuconym z północy na południe po cięciwie frontu, który przedstawiał wielkie półkole, wykonywać zadania na terenie, którego się nie znało, orientować się tuż po wkroczeniu w akcyę w całej sytuacji, nawiązywać łączność w chwilach, gdy tej łączności było brak.

I tym razem, jak w ciągu dwu lat, los wyznaczył drugiej Brygadzie najtrudniejszą część roboty. I tym razem byliśmy brygadą poruszeń, rzutów i uskoków, ofensywy i osłony odwrotów.

Takie już przeznaczenie naszej Brygady.



## II.

Zawrzało na całym froncie. Od Styru po Prut. Nad okopami wybłyskać poczęły dymki szrapnelowe, w pozycje zarywać się zaczęły granaty i wyrzucać kłęby ziemi i piasku, na przedpolach wzmożony ruch patrolowy, od odcinka do odcinka biegną meldunki: tu zoczono tyle a tyle rzędów piechoty nieprzyjacielskiej, podchodzącej pod własny front, tam bystre oko obserwatora dojrzało kolumnę w marszu, a tam, otulona chmurą dymu, kroczy widocznie kawalerya lub wije się wąż trenów...

Gdzie nieprzyjaciel uderzy? W którym punkcie klinem wbić się pokusi?

Coraz więcej, coraz częstsze meldunki. A przedewszystkiem: wzmożona czujność! — i dla nas, rezerwy, rozkaz: być każdej chwili gotowym do skoczenia w zagrożony punkt, do zatarasowania drogi w głąb nieprzyjacielowi.

6-go czerwca przygotowujemy się na to. O północy już jesteśmy gotowi do marszu. O świcie już maszerujemy. Przez wilgotny las, zroszone pola — ku frontowi.

Jeszcze tylko kilka godzin wszyscy społem, oba pułki przy sobie. Cała Brygada w ordynku bojowym maszerująca. A potem: oddziały poustawiane za poszczególnymi odcinkami, porozmieszczane wzdłuż całego frontu Legionów i sąsiednich dywizyi\*).

Bo też nieprzyjaciel w pierwszej połowie czerwca prócz prób przełamania frontu nad Prutem, nad Strypą, pod Łuckiem, czynił rozpaczliwe wysiłki, by klinem wbić się we front legionowy, i z nim bezpośrednio na północ sąsiadujący, grupował się gęstemi masami, podchodził na kilkaset kroków swą tyralierą, forsując równocześnie nasze placówki gęstym ogniem swej artylerii, usiłując steroryzować naszą obsadę ogniem huraganowym, przeszkodzić podchodzeniu naszych rezerw ogniem zamykającym.

Więc niemal za każdym pododcinkiem musieliśmy się ustawić z bronią u nogi, w bezustannem oczekiwaniu nagłej a decydującej roboty.

Trwały te zmagania z napierającym nieprzyjacielem przeszło 4 dni. Co kilka godzin podchodziła pod front I i III Brygady, a dalej na północ przed odcinek węgierskiej, doskonale

\*) Wskutek tego zapiski moje obejmują tylko te akcje II Brygady, przy których Komenda Brygady była obecna.

się broniącej dywizji — tyraliera, noc w noc potyczka, co kilka godzin bębniący ogień i obrzucanie pozycji pociskami armatnimi.

Lecz też co kilka godzin pocieszające, pełne satysfakcji meldunki: wróg darmo się kusi o sforsowanie naszych pozycji — darmo zużywa i trwoni naboje! Linia nasza stoi niewzruszona! Ani nie zadrgała! Nie zdzierzył wróg, nie skruszył swym naciskiem nawet obrzeży naszych pozycji. Przyczółek mostowy — dzieło zimowych robót II Brygady — oparł się naporowi, tak samo wszystkie nasze i sąsiednie umocnienia polowe.

Cała 77 dywizja rosyjska napierała — lecz napróżno! Tylko przedpole zasłała swymi trupami... Przeciwnie: z naszej strony idzie inicjatywa; przechodzą poszczególne formacje do czynu, ataku. I tak major Wyrwa z I Brygady śmiałym rzutem trzebi wroga; i tak nasz pułkownik Januszajtis z 3 kompanią 2-go pułku pod komendą bajecznego w swej brawurze podporucznika Henryka Serwaczyńskiego, śmiałym nocnym wypadem przed placówką pokazuje Moskalom, że legioniści umieją nie tylko swej pozycji bronić, ale i przedsiębiorczość okazać. Uznanie za te wypadki, dokonane w czasie ofenzywnych poruszeń rosyjskich, wielkie. Komendant korpusu telegraficznie nadaje legionistom II-iej Brygady medale waleczności, komendant armii niemieckiej żąda wymienienia oficerów, którzy powinni otrzymać krzyże żelazne (oczywista na pierwszym miejscu zostaje nominowany Januszajtis).

Lecz mimo to nieprzyjaciel nie daje za wygraną. Od 7-go do 12-go bez przerwy napiera. Więc bataliony II Brygady wciąż na inne stanowiska bywają przerzucane. Gdzieindziej stoi pułk. Minkiewicz z dwoma batalionami, gdzieindziej kapitan Szczepan i kapitan Łukowski ze swymi oddziałami, a Komenda Brygady z częścią swych wojsk również na innym pododcinku.

Wreszcie nieprzyjaciel zyskuje przeświadczenie, że tu włomu uczynić nie zdoła, że tego żelaznego muru, jaki przed sobą ma, nie skruszy!

I odtąd aż do pierwszych dni lipca, a więc przez niemal 3 tygodnie, względny spokój na froncie legionowym. Nieprzyjaciel ino maskuje jakieś poważniejsze zamysły; lecz przejrzano go i nikt tego seryo nie bierze...

Spokój ma I i II Brygada. Lecz dla nas, rezerwy, почина się nowe zadanie. Ledwo uciszyło się przed frontem legionowym, nieprzyjaciel próbuje przełamać się bardziej na południe. Tam teraz grzmią armaty, stamtąd dolatuje pogłos zmagania.



19-go czerwca Komenda Brygady wraz z dwoma batalionami pułk. Januszajtisa idzie od świtu ku tym coraz potężniejszym pogłosom... Szybkim marszem wije się kolumna poprzez 40 kilometrową przestrzeń na zagrożony punkt. Poprzez mokradła, nawet latem nie wyschnięte, po piachach i przez gęstsze leśne spieszmy śladem potężniejszego huku, by wreszcie za szeroką strefą bagien przepaść w lesie... Lecz oto już widać pierwsze znaki bizkiej linii, już poznać postaci przed nami, już słyszeć klekoty karabinów maszynowych i salwy piechoty i trzaski rozpryskujących się pocisków armatnich.

Na skraju lasu żółta wstęga rowów strzeleckich.

Jesteśmy na linii pod Gruziatynem.

Nieprzyjaciel całą mocą napiera. Wysyła pułk za pułkiem, naciska masą, przed każdą swą kompanią ma karabin maszynowy, na drzewach obserwatorów i karabiny maszynowe, za swą linią gęstą sieć dział, które ostrzeliwuje intensywnie nie tylko naszą linię, ale kilkumetrową przestrzeń za nią. Byłem w ciągu dwudziestukilko-miesięcznego pobytu na froncie świadkiem niejednego przygotowania artyleryjskiego. Ale tak denerwującego jak pod Gruziatynem nie widziałem. Ogień rozrzutowy obejmował nie tylko wszystkie drogi dobiegowe, ale rozsypywał się w głąb nieregularnie, nieobliczalnie; granaty, gdyby ogniście piłki, na wsze strony ciskane, ryły się we wrzośy, rozłupywały konary, dudniały po lesie, w którym wogóle ogień armatni stokroć potężniejsze wywołuje wrażenie niż na otwartym terenie.

20-go czerwca, ledwo świt poczyna się akcja. Jesteśmy w rowie strzeleckim, płytkim i nieochronionym, o kilkaset za ledwo kroków od nieprzyjaciela, forsownie napierającego, na linii strażów, które jak uprzykrzone osy brzęczą dokoła. Jakże trudno tu rozkazywać, wydawać zlecenia, pisać dyspozycje! Już jeden z naszych jeźdźców meldunkowych ugodzony w naszych oczach złomem granatu; tuż obok kasety pada jeden z telefonistów, rażony momentalnie kulką w czoło. Z całej linii dochodzą meldunki: ciężko jest, przemoc! Nieprzyjaciel skrajami bagien obchodzi linię, prowizorycznie obwarowaną, nieprzejrzystą i nieszczelną, bo bagnami poprzegradzaną. Sytuacja stawać się poczyna coraz krytyczniejszą.

Wtedy pułk. Januszajtis jednym rzutem rozwiązuje sytuację. Batalion Orlika - Łukowskiego jest na linii; za nim stoi

I batalion 2 pp., który właśnie przyprowadził Januszajtis. W mig zorientowawszy się w sytuacji, nie czekając wyższych rozkazów, z własnej inicjatywy, i tą przedziwną i precudowną kierowaną intuicją, która temu żołnierzowi par excellence każe wyczuwać i dziury na ciele wroga, i sposób zaradzenia w każdej własnej skomplikowanej sytuacji — Januszajtis porywa za sobą dwie kompanie — por. Kruka i por. Romaniszyna — i idzie do kontrataku... *Obstupuere omnes...* Inaczej bo tej, wprost swą zuchwałością zdumiewającej, brawury nazwać nie można! Zewsząd napierają Moskale, pod ochroną wściekłego ognia wnikają już w naszą linię, mają nadzwyczajne udogodnienia terenowe, bo sami oparci o okopy spychają nas do bagien — a tu Januszajtis wypadem swym miesza ich szyki, zmusza do natychmiastowego wycofania się, z miejsca przeobraża obraz sytuacji: ofenzywa rosyjska na nasz odcinek zmienia się w defenzywę, naciskający muszą się bronić... Oczywiście ten lokalny sukces obejmuje swem znaczeniem cały odcinek: i na ten dzień i na następny Moskale zaprzestają ataku; inicjatywa przechodzi z ich rąk w nasze.

Oto znaczenie i rezultat samodzielnego wypadu pułk. Januszajtisa.

Niestety, on sam, jak zwykle, na czele atakujących, dostaje strzał w nogę i musi ustąpić z pola. Przez te dwa lata igrał z ogniem, urągał kulom, myślał zawsze o niebezpieczeństwach powierzonego mu oddziału a nigdy o swem własnym, powiadał, że w rosyjskiej fabryce broni jeszcze kulka dlań nie ulana — aż pod Gruzjatyńem i nań kolej przyszła... Zła kula, co nam go na pewien czas zabrała; dobra, bo go tylko raniła...

I tu okazała się wytrwałość naszej młodej organizacji. Bo ledwo pułkownik ranny zjechał z pola, już w jego miejsce wskoczył kapitan Orlik-Łukowski, by z niesłabnącą energią i zadziwiającą mocą rozkazodawstwa dalej pułk prowadzić.

Sytuacja bowiem mimo szczęśliwego wypadu nie przedstawiała być ciężką. Przed kontratakiem Januszajtisa bowiem nieprzyjaciel, korzystając z nieprzejrzystości terenu, wdarł się dwoma klinami. Jeden, najważniejszy, odbił tak skutecznie pułk drugi, druga, cieńsza, prawie niewidoczna smuga nieprzyjacielska, wsączając się przez naszą linię, dochodziła do miejsca postoju Komendy Brygady. Nagle na trzydzieści kroków od nas Moskale! Mieliśmy wtedy przy sobie jedną tylko kompanię rezerwową i tę, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, pchnął w lukę kap. Tarabanowicz, szef sztabu II-ej Brygady.



Na kilkadziesiąt kroków podeszli Moskale, widzieliśmy ich opodal nas i widzieliśmy się w więcej niż krytycznej sytuacji — a jednak i tu im położono zaporę i tu ich przepędzono!

Dzień ten pozostanie jedną z najpiękniejszych kart w dziejach II-ej Brygady. Kontratak drugiego pułku sparaliżował zapędy rosyjskie, przysporzył nam kilkaset jeńców; zdobyto karabin maszynowy; front został wyrównany i co najważniejsze: z obrońców staliśmy się atakującymi.

Miało to być dziełem następnego dnia. Już pod wieczór przyszedł rozkaz ataku.

### III.

W rowie przydrożnym, u skraju polany leśnej spędzamy noc, rozsiadłszy się dokoła aparatu telefonicznego, zajęci dyspozycjami, meldunkami. Jesteśmy w sferze ognia i trudno tu pracować. Lecz jeszcze trudniej gotować się na boje następnego dnia tym o kilkaset kroków przed nami. Bo nieprzyjaciel, dziś odparty, jakby wietrzył nasze zamysły i nie tylko przedpole, linię i wszystkie drogi dobiegowe obrzuca pociskami armatnimi, ale i przez całą noc ostrzeliwuje się, nie daje zmruć oka.

Ledwo ujawniły się blaski słoneczne, rozwiera się piekło przed nami. Poszum wielki jedzie po lesie i świsty kul, chlastających gałęzie, i skowyty granatów, lecących za linię, i dudnienie karabinów maszynowych, których nadmiar Moskale ustawili.

Przez to piekło przedziera się kap. Orlik z drugim pułkiem. Nic to, że wściekły ogień. Legioniści idą naprzód! Nic to, że wpoprzek zdradne bagna i moczary. Legioniści po brzuch zapadają się w wodorostach i idą naprzód! Już doszli podle okopy nieprzyjacielskie. Moskale w popłochu się cofają, szyki ich mieszają się.

Lecz oto w tym kulminacyjnym momencie ataku z boku poczynają klekotać karabiny maszynowe. Legioniści mają odsłonięte flanki i stoją pod siejbą kul. Ani na chwilę linia nasza nie drga, choć spustoszenia już wielkie. W największym porządku ustępuje drugi pułk na swe pozycje, zadając przytem nieprzyjacielowi poważne straty. Mimo korzystnej swej sytuacji wróg nie śmie następować i trwa w swym znieruchomieniu jeszcze długo, bo od 21 czerwca do 30 czerwca, jak długo

drugi nasz pułk wraz z komendą Brygady stały pod Gruziatynem — tą marną wioszczyną, o której zarówno nasze komunikaty jak i rosyjskie tyle miały do powiedzenia.

Równocześnie gdy nasz drugi pułk bronił wrogowi przystępu do Gruziatyna i wstrzymał napór od południa na tor kolei Sarny-Kowel i główny punkt węzłowy całego łuku, bronionego przez Legiony, stację Maniewiczze — równocześnie drugi batalion 3 pułku pod kapitanem Szczepanem działał na sąsiadującym odcinku. Z autopsyi przebiegu tych walk nie znam, mam jednak szczegółowe relacje uczestników. Niejeden zapęd moskiewski sparaliżowali tu nasi starzy Karpaczczy, niejedną trudną sytuację ułatwiali swą postawą i nastawianiem swych piersi — przyczem w ciągu pięciu dni nieustannych marszów i potyczek, ciągłego wskakiwania na coraz to nowy pododcinek, wiecznych przesuwania — wykazali najlepsze tradycje żołnierza hallerowskiego z Rafajłowszczyzny.

Od 17-go stał w ogniu kap. Szczepan ze swym batalionem. A dopiero 22-go gdy ostatecznie zapędy wroga przełamały się, mógł swój hufiec z nami złączyć.

Trzy bataliony II Brygady, dwa 2-go pułku i jeden 3-go, przebyły bój pod Gruziatynem, jeden z najcięższych, jakich byliśmy świadkami.

Okupiły swe zwycięstwo, swój sukces powstrzymania zapędów wroga — krwią serdeczną.

W skwarne lato, w ciszy letniego południa — głosi mitologia starosłowiańska — chadzała polami Przypolnica i kosiła niemrawych, o życie przyprowadzała nieruchających się, zażywających, gdy czas robót, wywczasu...

Kiedyś legenda opowiadać będzie o Przypolnicy, co to kosiła tych właśnie, co się najbardziej ruchali, co nie znali słowa wywczas, wypoczynek, bezruch, beczyn.

Ach, iluż już złożyliśmy w II Brygadzie w ofierze Przypolnicy!...

Takie drogie, młode postaci, jak chor. Barys i chor. Gołąb, druhy miłe, serca pełne żaru — co tam legły na przedpolu, wiedząc swe plutony w bój, a rażone w chwili zwycięstwa swych oddziałów...



Kazimierzu Kapalka, cichy pedagogu, którego ciało złożyliśmy w uświęconem męczeństwie *campo santo* Chełmu... Pamiętam ostatniej Nocy Wigilijnej, gdy po północy zesłaliśmy się podle drutów kolczastych, siedli na obrzeżu rowu, patrzyli w roziskrzone niebo i opalizujące śniegi, wsłuchiwali się w ostrzeliwania się placówek — a Tyś na głos marzyć począł, jako kiedyś zawód nasz nauczycielski wykonywać będziemy inaczej... gdzieindziej. Jakaś swym cichym, kojącym głosem wypowiadał hasło przebudowy charakterów, przetapiania serc w przyszłej organizacyi szkolnictwa narodowego. Ty biedny suplencie krakowskiego gimnazjum — coś zginął jako rycerz polski u granic...

A ta pięćdziesiątka bezimienna, starzy żołnierze II Brygady, polegli pod Gruziatynem. Nazwiska Wasze przejdą do listy strat, do złotej księgi tych, którzy zaszczyt mieli poledz dla Sprawy. Znowu o kilka kart nabrzmiewa nasza złota księga... Przebyliście drogę przez Pantyr, przez karpackie przełęcze, całą huculszczynę, kroczyliście szlakiem rycerzy Wołodyjowskiego na pograniczu Wołoszy, trzebiliście wroga z jarów besarabskich, strzeżliście granic etnograficznych polskich, grzęznąć w mokradłach i uroczyskach poleskich, przez dwa lata staliście, wy szarzy, bezimienni żołnierzykowie, na froncie podwójnym — bo i przed nieprzyjacielem i na czele narodu... Stapia się garstka tych, co z Krakowa wyszli, co wszystko przetrwali. Mnożą się mogiłki. Lecz rośnie prawo. Prawo, oparte na ofiarach, na dowodach czynu, na okupie krwi. Zmartwiało znów pięćdziesiąt ciał młodych, zwiększając zarazem ten pomost, rzucany przez młodzież narodu ku przyszłości, ku celowi...

Wy, którzyście żywi w głębi kraju i którzy przejdziecie ku świetlanej przyszłości po tym pomoście, — pogłębiajcie w sobie poczucie, z jakiego materiału on był zrobiony...

...Oto prowadzą naszych rannych oficerów. Jest za pożywą drogą leśna. Nieprzyjaciel jest w nią dokładnie wstrzelany i co chwila z piachu wykwita skłębiony słup, rozpryskują się złomy granatowe, chrzęszczą i jęczą rozłupane gałęzie, zaorują się we wrzosach zegary szrapnelowe, z świstem rozbiegają się snopki kulek szrapnelowych. Tą drogą ogniewą schodzą w tył nasi ranni oficerowie. Jeden z oficerów austriackich, który w naszym pobliżu stał na tej drodze, powiada mi: »Nigdy tego widoku nie zapomnę. Tak kroczą bohaterowie«. Acz ból przesywa cały organizm, ani jękną; przeciwnie: uśmiech szczęścia, pogoda spełnionego chwalebnie obowiązku na twarzach. *Virtus* obywatelska i oczywistość faktu. Siła rzymska i prostota ja-

pońska. Aleją leśną ciągną ci, co mieli szczęście przejść za Polskę chrzest krwi. Jedni na noszach; innych prowadzi dwóch wiernych żołnierzy; a tam jeden, oparłszy się o karabin, kusztykiem sunie drogą; a tu z ręką na temblaku kroczy młody chorąży i żywo opowiada, jak tam było, gdy on napierał, a Mochy podle się broniły i jeszcze podle strzelały, a jego pluton parł i parł, a nagle uczuł, że mu tak dziwnie ciepło w ramieniu...

Tak prowadzą cichego i zawziętego porucznika Mieczysława Smorawińskiego, co to jeszcze w maju zeszłego roku pod Dobronowcami patrolom wybił kilkudziesięciu wroga i ranny, zaledwo do powierzchownego podleczenia się wytrzymał w szpitalu, by wróciwszy na front z każdą walką nabrać coraz większej powagi i znaczenia w pułku; prowadzą z przestrzeloną twarzą podporucznika Jana Sendorka, chłopca jak dąbeżak, jednego z tych, co z karabinem na plecach przebył w czołowej kompanii pułku wszystkie boje Brygady i dorobił się w ciężkich zmaganiach godności oficerskiej; prowadzą podporucznika Henryka Serwaczyńskiego, junaka, tryskającego życiem, temperamentem, co to w chwilach spokojnych wszystkich rozweselał, a w niepokojnych zagrzewał, człeka nieustraszonej odwagi; prowadzą młodziutkich chorążych, narybek oficerski Brygady, wiekiem młodych a doświadczeniem wojennem starych: Spirę i Wójcika, Cebulskiego i Mierzwińskiego, co to na bagnie ranny, długi czas przeleżał aż się do swoich dowlókt; prowadzą podporuczników Bursę i Polaka; porucznika Schustra-Kruka, co, mimo rany w udo, zostaje na linii i dalej swą kompanię prowadzi; podporucznika Michała Romaniszyna, słynnego na całą Brygadę zabijakę, co to już po raz czwarty ranny, a zawsze lekko, zawsze z humorem traktujący traf, iż w każdej bitwie kulka go się ima, lecz z każdego poranienia łatwo się wylizuje, chłopca o szerokim geście żołnierskim i rozmachu, co to jeszcze pod Oekörmezö przedarł się przez linię i narobił bigosu w... trenie nieprzyjacielskim, pod Zadobrówką dopadł z plutonem okopów nieprzyjacielskich i zagarnął całą obsadę, a teraz pod Gruziatynem wysunął się pod pozycje wroga, wdał się w walkę na bagnety, został obsypany granatami ręcznymi i zdołał się wycofać tylko z... dwiema ranami: kłótną w dłoń i kulką w udo. Nic to — zostaje w linii, dalej swą kompanię prowadzi a ino trochę kusztykiem chodzi... Prowadzą koło nas podporucznika Władysława Czaplńskiego. Ma postrzeloną nogę i leżąc na noszach spokojnie pali papierosa. Wokół wściekle biją Moskale, gwi-



żdżą kule. Siedzimy w rowku przydrożnym. »Natychniast nosze do rowu!« Jeszcze nam rannego dobiją. A potem, w chwili spokojniejszej, unoszą porucznika lasem w głąb...

Inną drogą zwożą w głąb rannych II batalionu 3 pułku. Tędy odchodzą starzy wychowankowie pułkownika Hallera, bohaterzy rafajłowscy, podporucznik Parafiński, podporucznik Kwaciszewski, chorążowie — Profic i Kahl, Hyc i Quirini. Przestrzełoną twarz ma porucznik Bogusław Szul, co to od skauta przeszedł w tych dwudziestu kilku miesiącach wojny proces zmęczenia, stał się prototypem młodzieńca, łączącego wybitne cnoty żołnierskie z wysokim poziomem kulturalnym, bard 3-go pułku, twórca niezliczonych piosenek obozowych, cichy marzyciel a przytem rycerzyk, pełen brawury w polu.

Od 21 czerwca wieczorem do 30-go nieprzyjaciel wyczerpany ani kusi się o następywanie. Korzystamy z tego względnego spokoju, by doprowadzić oddziały do ładu.

A już rozkaz powołuje nas na inny odcinek, przerzuca z południa toru kolejowego na północ, porucza nowe zadania.

Nieprzyjaciel nacisnął na front legionowy. Dolatują nas słuchy, iż przed pozycjami I i III Brygady i sąsiadujących formacji poczyna się wielka, decydująca walka.

Szybkim marszem spieszymy, jako rezerwa, w tę stronę.

#### IV.

Zbliżały się dni rozstrzygające. Niemal po miesięcznej przerwie — od 7 czerwca do 4 lipca panował na froncie legionowym, pod Kołodyą, względny spokój — postanowił tu nieprzyjaciel dokonać wyłomu.

Właściwie był to punkt jakby do tego stworzony. Jeszcze jesienią zeszłego roku, gdyśmy odcinek obwarowywali umocnieniami polowemi, czuliśmy, że na tak wysuniętym, eksponowanym punkcie jak teren dokoła Kościuchnowki — trudno będzie napór wytrzymać. To też tem chwalebniejszą jest wytrzymałość Legionów, że tu wytrzymały przez niemal trzy kwartały, że stale odpierały zakusy nieprzyjacielskie, że pod czerwcowym naciskiem linia obronna nie zgięła się.

Lecz w lipcu naporu na front dokonały przeważające siły i to przewagą, nieproporcjonalną zgoła do naszych sił. Rozwarło się istne piekło. Liczną artylleryą ciężką masując front, wysuwając nieprzejrzone masy popod nasze przeszkody druciane,

które miały stanowić pomost ciał dla posuwających się uzbrojonych oddziałów, poświęcając całe pułki konnicy do wypełnienia każdej luki, pędząc w śmierć tysiące swoich żołnierzy i trwoniąc ze zbrodniczą lekkomyślnością materiał ludzki — nieprzyjaciel zmusił nas do zajęcia tych pozycji, które były właściwymi dla nas, do skrócenia frontu przez pościąganie tych jego wypukłości, które były zbyt eksponowane.

Jak się akcja ta odbyła, jak ją wykonały Legiony — o tem świadczy i oficjalny komunikat prasowy z 7-go lipca i te rozliczne dowody uznania, jakie na Legiony spłynęły.

Oczywista niepodobna objąć całokształtu akcji tej. Każdy z oddziałów legionowych miał wyznaczone inne zadanie; wiele naszych pułków dokonywało marszów osobno — tak iż z autopsyi objąć można tylko fragment. Kiedyś z tych fragmentów zestawi historyk jedną z najpiękniejszych kart w dziejach oręża polskiego.

Nasza Brygada działała w tych dniach w trzech grupach. Jedna, obejmująca 2 pp. pod komendą kapitana Dziekanowskiego; druga obejmująca 1 batalion 3 pp. pod dowództwem kapitana dr. Zająca; trzecia, składająca się z 2 batalionów 3 pp. pod komendą podpułkownika Minkiewicza. Przy tej ostatniej grupie byłem, i o jej czynach w tych ważnych, pełnych emocyi dniach notowałem w pamiętniku.

Od strony Legionowa podjeżdżamy ku wzgórzom Studenica. Kierunek pochodu znaczą nam słupy, unoszące się nad naszymi pozycjami. Im bliżej, tem łomot walk artyleryjskich rośnie. T. zw. »góra polska« (gdyśmy zeszedł jesieni ten front krwią kap. Tarkowskiego, por. Łyska i tylu dzielnych żołnierzy 3 pułku okupywali, Niemcy każdy zdobyty i zajęty przez nas punkt geograficzny ochrztili mianem »polski«, powstał więc »Polenberg«, »Polenwald«, »Polenbrücke« i t. d.) — »Góra polska«, w chwili gdy podjeżdżamy, zionie ogniem, wre gdyby teren wulkaniczny. Co chwila wykwita kłęb dwupiętrowy, unosi się szary słup dymu, podlatuje w górę czarna warstwa ziemi.

Tu już od razu drugi i trzeci batalion 3-go pułku pod komendą podpułkownika Minkiewicza działa wśród nadzwyczaj ciężkich warunków. Ma ppułk. Minkiewicz obsadzić linię na zachód od »Góry polskiej« i stanowisko ryglowe, łączące ten odcinek z pozycjami I Brygady w »lasku polskim«. Po obsa-



dzeniu tego ma zająć stanowisko poprzeczne między »mostem polskim« a cmentarzykiem na zachód od Kościuchnowki.

Były to przedsięwzięcia niezwykle trudne. Moskale skierowali na tę połąć frontu główną siłę swej artylerji. Nasi otoczeni byli dymem i piaskiem. Rozwarło się istne piekło, ze stu kraterów zionęło rozpalonem żelaziwem, złomami granatowych »kufereków«; korzenie drzew wysterczały z lejów, potworzonych zarytymi granatami. A mimo to: »Polenberg« i stanowisko ryglowe zostały zajęte! Nie zdołał nawet gazami trującymi sterroryzować naszych nieprzyjaciel — bombardowanie naszych pozycji, najsilniejszy ogień huraganowy — rozkruszał pozycje, niweczył rowy, zasypywał wszystko, lecz nie zdołał zmiękczyć serc, osłabić ducha. Nawet 5-go lipca po południu, gdy nagle w pobliżu otworzyła się luka, przez którą na tyły naszych batalionów sączyć się poczyna nieprzyjacielska tyraliera, zaś sąsiadujące legionowe kompanie wskutek chmur dymu i piasku, przesłaniających widok, nie mogły zauważyć zgrozy położenia i niebezpieczeństwa okrażenia — nawet w tej chwili kap. Szczepan rzuciwszy do kontrataku 8-mą kompanię 3 pp. zdołał momentalnie powstrzymać dalsze posuwanie się Rosyan, oczyścić własny odcinek i zapobiedz dostaniu się na tyły większych oddziałów nieprzyjacielskich, lecz niestety już wtedy przeszkodzić nie było można, że te nasze oddziały, które najbliżej były punktu wyłomu, wycofać się nie mogły.

Pod wieczór wzmocnioną została pozycja podpułkownika Minkiewicza, gdyż całodzienny bój wśród tak ciężkich warunków oczywiście musiał wyszczerbić nasz stan bojowy, batalionem 6-go pułku pod komendą majora Galicy. I mimo silny nacisk, mimo wyteżone wysiłki, nieprzyjaciel tej nocy nie zdołał przedrzeć się przez naszą linię.

Po północy komenda II-giej Brygady otrzymała rozkaz rozstania się z grupą Minkiewicza i objęcia komendy nad grupą, która miała bronić wsi Wołczeczek. Prowadząc konie, ciemną nocą, choć oko wykol, idziemy lasem do dawnych, zimowych kwater Brygady... Drogę nam znaczą reflektory nieprzyjacielskie, linię markują rakiety świetlne. Świta dzień, który w dziejach Legionów tak krwawo i chlubnie się zapisał, dzień 6 lipca... Majaczą kontury wsi poleskiej, w której zimę spędziliśmy, szkli się upiornie bagnisko u lizery lasu, na wzgórzu kępa drzew powyginanych od wichru, a pod niemi las krzyży, mauzoleum legionowe, słynny już cmentarz wołczeczki...

Wnikamy w las; przez kilka godzin sen oddala nas od seryi faktów, które z tak niewymijalną konsekwencją się tłoczą.

Przez cały ranek wyteżona praca. Telefon aż jęczy, porucznik Górka zajeździł już trzeciego konia, mój blok meldunkowy wypisany, a w drugim już tektura widna.

Wtem... Cóż to? Strzały — tu?? Od lewej strony? Przy nas? przy stanowisku komendy? najpierw kilka świsnęło i bzyknęło kul, po chwili roje całe... Czyżbyśmy byli zaflan-kowani? Dzielny nasz porucznik Iwanowski siada natychmiast na koń i galopem naprzód, na wywiad, w kierunku, skąd strzały padają. Po chwili z meldunku jego dowiadujemy się: linia między ppułkownikiem Minkiewiczem a wsią w dwu punktach przerwana; stały tam niemieckie wojska i zostały zaskoczone, poczem kozacy po nich przeszli. Zaś między bagnem a lasem tuż przed nami wcisnęła się piechota rosyjska i wprost wali na nas. Z rojowisk kul zdołaliśmy unieść ciała zdrowo, cwałując co sił w las.

Równocześnie, gdy to się działo przy stanowisku komendy Brygady, na prawem skrzydle odcinka, pod Studenicą następstwa wdarcia się dały się odczuć bardzo ciężko i groźnie. W ślad za kozakami, szarżującymi niemieckie oddziały, wdarła się na Studenicę piechota rosyjska nieprzejrzaną masą. Zarówno oddziały nasze, jak i komendant odcinka podpułk. Minkiewicz byli tem wtargnięciem zaskoczeni. Zawszad zaroilo się od nieprzyjaciół. Cały las był ich pełen. Wtedy straciliśmy i podpułkownika, i jego adjutanta, i szereg oficerów, i tych najdzielniejszych legionistów 3-go pułku, co i Rafajłowszczyznę przetrwali, i Bukowinę, i Besarabię, i Polesie...

Na chwilę tylko zdołał napór nieprzyjacielski zmieszać szyki. Główny jego cel: odcięcie odwrotu na stacyę Wołczeczk i zajście na tyły legionowe — został z miejsca sparaliżowany. Bo zarówno oddziały majora Galicy, jak kapitana Szczepana, kryjąc odwrót, cofają się w największym porządku na południe, powstrzymując w ten sposób zapędy kozackie i przyczyniając się do tego, że wyłom nieprzyjacielski poza lokalne swe znaczenie, nie przybrał większych rozmiarów i nie stał się groźnym dla całości Legionów\*).

\*) To, co się tego popołudnia działo na innych odcinkach legionowych, w I i III Brygadzie, znanem jest z relacyi innych i powtarzać tego nie będę, tembardziej, że ograniczam swe relacye do tego, co widziałem i co mi jest znanem z raportów i opowiadań uczestników walk II-giej Brygady.



Pod wieczór znaleźliśmy się na stacyi Maniewiczze. Utrudzeni wielce przybyliśmy konno, by tu, z komendy korpusu otrzymać dalsze rozkazy.

Sytuacja pod wieczór była taka: pod naporem przeważających sił rozpoczął się odwrót na Stochód; Legiony zajęły linię na północ od toru kolei Maniewiczze — Kowel; między Kuńskiej i Perekrestie miała tej nocy znajdować się I-sza Brygada; co z III-cią Brygadą i naszym 2-gim pułkiem, który współdziałał przez cały dzień w związku z węg. dywizją kawaleryi — w tej chwili nie wiedzieliśmy. Na południe od toru miały się równocześnie wycotywać dwie austr. dywizye.

Tyle wiedzieliśmy, gdyśmy przybyli na stację Maniewiczze po dalsze rozkazy. Ewakuacja stacyi była właśnie w pełnym toku i dokonywała się w zupełnym porządku bez nerwowości z uspakajającą planowością.

Rozkaz, jaki otrzymała komenda Brygady, brzmiał: bronić Maniewicz do świtu, poczem, wysadziwszy w powietrze stację i tor, spaliwszy budynki, cofnąć się, a przytem jeszcze osłaniać odwrót.

Ciemność już zapadła i lasy wokół zczerniały, gdyśmy z kilku jeźdźcami meldunkowymi ruszyli wzdłuż toru na wschód. Cisza po tym pełnym zmaganiu i łomotu wojennego dnia — aż dzwoniła w uszach... Jakby się wszystkie te suche trzaski i rozpryski naboju, które przez dzień cały wokół hałaśliwie przelatywały, zapadły hen w ciemnym borze, rozpląnęły w mgławicy wieczornej... Pod Ugłami spotykamy nareszcie gromadkę swoich, z którymi mamy rozkaz wykonać: major Galica ze swym oddziałem: w drodze powrotnej z pod Studenicy. W mig wydane dyspozycye, tyraliera rozsypuje się na prawo i lewo od toru kolejowego i poczynają się długie, długie godziny oczekiwania... Wokół nieprzejrzana ciemność, i lasy szumią, i cisza... Nieprzyjaciel nie ma odwagi i siły — nacisnąć! Pozwala minąć najlepszej sposobności sforsowania toru kolejowego! Wogóle podczas całego odwrotu okazało się, jak mało Rosyanie potrafili wyzyskać sytuację, jak niewiele okazali orientacyi. Mieli do dyspozycyi przewagę artyleryi ciężkiej i masy żołnierstwa, którego ciała, gdyby żywe barykady poświęcili, po których torowali sobie krwawą drogę — ale więcej nic! Ani daru wyzyskania przewagi, ani zgrabności w wyszukaniu dróg odwrotowych, ani patrolowań. Staliśmy w kilkadziesiąt zaledwie karabinów na 3 klm. na wschód od Maniewicz, na prawo i lewo nie było nikogo, hen po lasach w niezmaconym porządku cofały się ko-

lumny wojsk i węże taborów — a mijała północ, a nieprzyjaciel nie zjawił się...

Tymczasem za naszymi plecami, pod osłoną naszego oddziału, dokonywały się na stacji Maniewicze przygotowania. Między poszczególnymi torami wśród obiektów stacyjnych, uwiijały się ciemne postaci z latarkami elektrycznymi, tu jakąś sztabę podpiłowując, tu do fundamentów się dobierając, tu jakieś ciężkie składając przedmioty. Wreszcie około 1-ej w nocy świst lokomotywy: ostatni pociąg odjeżdża poza obręb stacji, uwożąc narzędzia i robotników.

I już na cichej stacyjce, w czarną noc, w ciszy nocy letniej — jakby wszystkie rozpętano żywioły! Ulatują w powietrze szyny i dźwigary, zwrotnice i mosty, eksplodują bomby, pękają naboje dynamitowe, wyrzucając w górę tysiące cegieł, stwarzając tajfuny kurzu, wirującego wśród języków ognia, wyskakujących to tu, to tam pod firmament wyiskrzony gwiazdami, odbijając się tem groźniej od czarnego tła lasów...

Już wszędy oblizują płomienie drewniane belkowania wokół stojących ubikacji, wykrzywają obramienia okien, płoną już czuby na strzechach, których słomiane poszycie rozpryskuje się milionami isker, unoszonych przez wiatr.

I już wzdłuż całego firmamentu pełza fala dymu, gryzącego, cuchnącego...

I coraz silniejsze eksplozje, coraz głośniejsze trzaski, coraz częściej wirują wśród dymu i ognia złomy żelaziwa, siłą dynamitu w górę wyrzucanego...

A poprzez to piekło przesuwają się ze spokojem, z jakim się człowiek na wojnie przeciwstawia żywiołom — nasz oddział...

Wnikamy w las... Poprzez czuby drzew przelewa się odblask łuny, powyż niebo zasnutę potężniejszą wciąż masą dymu...

Szliśmy drożyną leśną do świtu, a ilekroć odwracaliśmy głowę, widzieliśmy krwawo ognisty transparent... Wśród huku armat i ognia huraganowego pod Bieglowem wkroczyliśmy jesienią 1915 r. w tę połać ziemi między Stochodem a Styrem, krwawy transparent znaczył drogę, gdyśmy ją opuszczali...

## V.

Równocześnie, gdy komenda Brygady zamykała dostęp do stacji Maniewicze i z dwoma batalionami 3-go pułku osłaniała



odwrót za Stochód, pierwszy batalion 3-go pułku pod komendą kapitana Zająca i cały drugi pułk pod komendą kapitana Dziekanowskiego przechodziły ciężkie, a pełne chwały dni na północ i południe od toru kolei Kowel — Sarny.

Akcyi tych, w owych pełnych odpowiedzialności dniach lipcowych świadkiem nie byłem, znam je jednakowoż z autentycznych relacyi, bo z raportów bojowych, na których się później opieram.

Batalion pierwszy 3-go pułku pod komendą kapitana dra Zająca został z początkiem lipca detaszowany na południową połąć odcinka, w tę okolice, gdzieśmy już w czerwcu się bili, gdzie Januszajtis był ranny i Szczepan się tak odznaczył.

Obecnie tam trzeba było posiłków, więc poszedł Zająca ze swym batalionem.

O tem, jak chwacko się spisał, najwymowniej świadczy poniższy dokument. Już po ukończeniu bojów pierwszej połowy lipca otrzymała komenda Brygady list od komendanta 13-go pułku piechoty bawarskiej, stawiający wniosek, by Brygada podała do niemieckich odznaczeń nazwiska szeregu oficerów i żołnierzy batalionu kap. Zająca, motywując to wezwanie następująco:

»Jako komendant detachment miałem rozkaz bezwarunkowo trzymać pozycye pod Gredye. W mej grupie znajdował się również batalion Legionów, który był umieszczony na południowy wschód od Gredye. Dałem batalionowi rozkaz, by wspólnie z batalionem honwedów wypełnił lukę między leśniczówką a wsią. Batalion polski zupełnie poprawnie wykonał ten rozkaz, bardzo dzielnie odparł dwa razy wspólnie z Węgrymi atak nieprzyjacielski i zniweczył tem samym zamysł nieprzyjaciela przedarcia się między leśniczówką a wsią. Zdobył przytem ros. karabin maszynowy i wziął jeńców.

Podczas odwrotu straciłem batalion z oczu i nie miałem możności wyrazić batalionowi szczerzej podziękii za dzielny współudział w skutecznem odparciu ataków nieprzyjacielskich. Proszę więc, by mi wolno było to uczynić za pośrednictwem JWP. Brygadiera. Chciałbym ponadto szereg oficerów i żołnierzy polskich zaproponować do odznaczenia Żelaznym Krzyżem; proszę więc o podanie mi nazwisk«.

Oto słowa niemieckiego pułkownika.

Są one najwspanialszym dowodem uznania, bo pochodzą

od świadka walk i to takiego, o którego obiektywności w ocenie chyba wątpić nie potrzeba.

Równocześnie na północ od toru kolejowego i na północ od odcinka legionowego działał w związku z dywizją węgierską kawaleryi nasz 2 pułk pod komendą kapitana Dziekanowskiego. Również i przejść tego detaszowanego pułku z autopsyi nie znamy, lecz jeno z raportów bojowych i relacji uczestników.

4-go lipca batalion pułku (kap. Łukowski) otrzymał rozkaz zajęcia odcinka na północny wschód od Kremieniuchy, jako pozycyi zamykającej. Wskutek posuwania się rosyjskiego ataku na Kremieniuchę, wysłano na linię, na prawe skrzydło Węgrów, batalion pierwszy (por. Szyndler) i część batalionu drugiego (por. Sawa-Machowicz).

Po południu urządził pułk kontratak, pomyślnym uwieńczony skutkiem. Wypiera się nieprzyjaciela z bagien na wschód od Kremieniuchy i zagarnia 3 oficerów rosyjskich i przeszło 100 jeńców.

5-go lipca panuje na odcinku względny spokój, o ile pojedynki artyleryi własnej z nieprzyjacielską nazwie się spokojem.

6-go lipca pułk przechodzi wszystkie fazy odwrotu. I drugiego pułku nie mija misya krycia odwrotu. Jest on ubezpieczeniem tylnem; przeżywają nasi chłopcy te denerwujące, a tyle brawury wymagające chwile, gdy zewsząd napiera wróg, zewsząd grozi niebezpieczeństwo, a stać trzeba niewzruszenie, gdyby mur, ubezpieczać drogi i mosty, ochraniać całość, choćby kosztem poświęcenia jednostek i części.

Szczególnie odznaczyła się tu 8-a kompania pod komendą porucznika Pyszkii. Ona to, wystawiona jako ostatnia straż na wschodnim brzegu Stochodu, zesła z posterunku, gdy już wszyscy byli bezpieczni. Cudem zesła. Oczywista nie bez przejścia dwudniowej odyssey, bo zewsząd już znajdując się na terenie, zajętem przez nieprzyjaciela, mając go niejako nadeptującego stopy, wiedząc, że przed sobą ma rzekę, a na niej mosty już zburzone — mimo to trwała i wytrwała, zaś kołując i brojąc się przed okrażeniem, dopiero 9-go lipca połączyła się z całością pułku. Wpław rzucił się por. Pyszko ze swą kompanią w wody Stochodu, brocząc po bagnach »sturamiennego« terenu rzeczno, a przytem ostrzeliwując się napierającym oddziałem nieprzyjacielskim — dotarł do swoich!



Jesteśmy już za Stochodem.

Wstaje cichy, łagodny poranek leśny. Taki dziwny spokój w naturze... Po tych dniach burzliwych, rozhukanych, szarpiących nerwami. Taki dziwny spokój!

Zbieramy się w Czeremosznie. Przestronna osada. Niebawem wre w niej życie obozowe: kilka tysięcy ludzi zapadła wioszczynę wołyńską przemienia w środowisko, tętniące życiem, ruchem, temperamentem.

I już w podwieczerek skoczne śpiewy ulatują z izb i już pogwar, gdy kuchnia ruchoma zajeżdża i już ogólne mycie i czyszczenie, już piłka nożna ulatuje nad pastwiskami, już kompanie suną na musztrę w pola, już zbiera się brać oficerska na improwizowane baliki, już na przyzbach siedzą »relutoni«, wczytują się w gazety, już kupkami żywo debatuje się o tem... dalekiem... hen za rowami i linią pocisków armatnich... o tem... o tem, o czem się marzy...

Jakby rozwiewające się mgławice są wspomnienia ostatnich krwawych dni znojów i bojów; fizycznie i duchowo legionista się restytuuje.

I to największy dziw.

Ta siła odrodcza, restytucyjna, tkwiąca w naszym żołnierzu. Ta jego niezniszczalność.

W ciągu dwóch lat, ileżto już było chwil, gdy się małoduszny zdało: »finis...« Mołotków — Osmołoda — Huculszczyzna — ośnieżone wierzchołki Karpat w dni wigilijne i noworoczne 1915 — Kirlibaba — 400 km. marszu nad Dniestr — topnienie śniegów i szeregów naszych z wiosną 1915 — Bukowina — Besarabia — Rokitna — a potem jesienne zmagania się: Lissowo, Biełgów, Kościuchnowka — wreszcie: gigantyczne zapasy z wielokrotną przewagą w ostatnich dniach.

— A jednak Legiony są, żyją, walczą, zwyciężają!

Są siłą niezniszczalną!

Oto w Czeremosznie defilada II Brygady przed nowym brygadierem. Rok myśmy szli: od Karpat po Polesie, nieustannie w polu, w nieustannych walkach; rok, zmorzony ciężką chorobą, był zdala od nas fizycznie, acz duchem ku nam się rwał. I oto zeszedliśmy się po roku. Patrzy on na brać żołnierską, spogląda ona weń — i te same myśli, te same uczucia władają i nim i nimi. Bo siły, które się tu przejawiają, są niezniszczalne, trwałe.

Oto w Czeremosznie przegląd całych Legionów przed jednym z najwybitniejszych niemieckich teoretyków i prakty-

ków sztuki wojowania. Ledwo co wyszli ci ludzie z piekła bitewnego, z wyrafinowanych, skomplikowanych ram nowoczesnej bitwy — a jednak stary generał niemiecki z podziwem patrzy na tę siłę odrodczą, która naszym chłopcom już w kilkanaście godzin po jednej z najcięższych bitew pozwoliła stanąć do przeglądu z tą świeżością i siłą, jak gdyby ci ludzie nie mieli za sobą 2 lat służby w polu, lecz dopiero w pole ruszali.

I oto po kilku zaledwie dniach postojów pobudka: na front! w okopy! I już poprzez niwy sunie kolumna piechoty, już w tumanach piasku wije się wąż kłusującej kawaleryi, już dudnią po traktach wołyńskich wozy armatnie — i już znowu coraz głośniej dolatuje muzyka frontu...

Najbliższej nocy już placówki rozstawione, już patrole wnikają w przedpole, już w okopach żołnierz polski.

---



## Noc w Wielicku

Nad Stochodem. Legiony na własnym odcinku. Wszyscy razem. Na linii pierwsza i trzecia Brygady. W lesie, obozem druga. Znowu jesteśmy rezerwą; znowu z bronią u nogi, gotowi na każdą ewentualność.

Stanowimy tu po raz pierwszy wielką rodzinę legionową, militarnie jednolitą, sprzężoną kitem obrony połaci ziemi. Wszereż i wgłęb — legionowa brać. Tu obozują nasi ułani; tu bateria polska, misternie zamaskowana, śle »kuterki« za Stochód; tu parkują tabory; tu rozsiada się gospodarka wojskowa. Mamy własny odcinek, odpowiedzialność zań i ambicyę utrzymania go za wszelką cenę.

Poczyna się od nowa umocnianie naszych pozycji. Jak nad Styrem, jak jesienią zeszłego roku. Ciągną więc oddziały rezerwy nocą na linię; buduje się rowy i schrony, punkty odporne i granatniki.

Z północy i południa dolatują głucho echa zmagania. Wróg napiera tam; próbuje sforsować linię Stochodu, przedrzeć się.

Koniec lipca. Od 2 tygodni na naszym odcinku względny spokój. Jeno ostrzeliwanie się placówek, jeno pojedynki artyleryjskie, jeno patrolowania nad rzeką i mniejsze przedsięwzięcia dla oczyszczenia przedpoła, zasięgnięcia języka, wykazania czujności.

Wtem niespodzianie 30 lipca II Brygada zaalarmowana! Gorączkowy ruch w obozie leśnym; awizo marszowe — i już kolumna wnika w las, przedziera się przez ścieżyny leśne, sunie poprzez piaszczyste trakty.

Mamy szybkim marszem przesuwać się o kilkanaście kilometrów na południe, poza odcinek legionowy, dotrzeć do sąsiadującej dywizji i tam spełnić jakieś zadanie. Jakie? Atakować? Bronić? Obsadzić? Wojna jest szkołą cierpliwości. Dowiemy się wczas! Na razie w skwarny dzień lipcowy wije się długi wąż kolumny.

Pod wieczór spotkanie: pod Wielickiem stoją oba pułki naszych ułanów pod komendą Beliny. Poczynamy domyślać się, jakiego rodzaju akcja nas czeka, gdy tyle kawaleryi mamy do dyspozycji...

W pałacu wielickim komenda niemieckiej dywizji; tu wreszcie dokładne dyspozycje. Oto dla skrócenia frontu i wyrównania go — tak zwane »kolano Stochodu« stanowiło wyskakiujący punkt, narażony na flankowanie — mamy ruszyć naprzód, zając tymczasowe pozycje i umożliwić tem samem oddziałom nielegionowym wycofanie się i zajęcie przygotowanych już i wybudowanych okopów; mamy być tarczą, poza którą dokonano się odwrót i zajęcie linii.

Z miejsca brygadyer Haller wydaje rozkazy. Piechota nasza wysunie się do pewnej linii, tu gęstą siecią placówek ubezpieczy teren, postara się o łączność zarówno zewnętrzną — z sąsiednimi odcinkami — jak i wewnątrz z własną linią; kawalerya cały teren spatroluje, krążąc od wysuniętego posterunku, odpierając każdą próbę nieprzyjaciela podejścia, zmącenia odwrotu, uniemożliwiając przystęp najmniejszych choćby oddziałów nieprzyjacielskich.

Ciemność już zapadała, gdy nasze bataliony ruszyły na spełnienie trudnego, niebezpiecznego zadania, gdy nasi ułani rozproszyli się po terenie. Zamysły wroga nieznanne; teren nowy, za dnia niewidzialny; linia własna cofa się; a tu noc coraz głębsza, głuchsza, nieprzejrzysta... Zwolna mijają godziny... Każda minuta dłuży się w nieskończoność... Już przednie okopy puste; oddziały, które je zajmowały, pod osłoną nocy wycofały się. Jeny na obrzeżach lasu, podle opłotków wsi, przyczajeni w samotnych futorach, przykucnięci w rowach przydrożnych, ukryci w lasach zbóż — nasze oddziały placówki, czujki; jeno oddziały nasze ułańskie przemykają się wzdłuż terenu, utrzymują łączność, rozstawiają się po skrzyżowaniach dróg — niby wachlarz rozpięty...

Godziny mijają; już pierwsze szare smugi światła kładą się poczynają na fiolety pól. Dotychczas nieprzyjaciel ani zmiarkował, co się tej nocy tuż przed nim stało: teraz, zdaje się,



połapał się w dokonanych zmianach i poczyna ostrzeliwanie; lecz już za późno... Przednie okopy puste... Wysłał wróg patrole, macki — wita je grad kul naszych posterunków, naszych patroli ułańskich.

Coraz jaśniej. Wstaje precudny dzień. Coraz głośniejsza strzelanina. Nieprzyjaciel już zdał sobie sprawę z sytuacji; chce powetować to, co tych kilka godzin nocy letniej przespał. Lecz już stanowczo za późno! Bo zadanie nasze spełnione: cała obsada odcinka już w nowych okopach; nasza Brygada może się wycofać, ochroniwszy tak skutecznie odwrót. Więc ostrzeliwując się suną oddziały nasze o brzasku, znikają z przed oczu zaskoczonego tymi manewrami nieprzyjaciela; dzielni nasi ułani wciąż jeszcze na widowni, wciąż krążą przed pozycjami, nie dopuszczając ani jednego żołnierza nieprzyjacielskiego na bliższy dystans, aż i oni ostatni znikają z widowni, wnikają w las za nowymi okopami, z których teraz bronić się będzie stara obsada.

Zadanie nasze spełnione. Spełnione z taką precyzją, iż cała obsada zdołała zająć bez przeszkody nowe okopy, zaś my ani jednego człowieka nie straciliśmy...

Dziwne to są koleje losu bitewnego! Czasem zda się, iż idziesz na lekką, mało niebezpieczną rozprawę, a tu siejba śmierci wielka; czasem — jak w tym wypadku — aż zgroza idzie od przedsięwzięcia, które ma być wykonane, a straty niewielkie lub — jak ostatnio — żadne...

Noc tę spędza komenda Brygady w dworze, tuż za oddziałami, mając przy sobie jako rezerwę na wszelkie ewentualności jedną kompanię 2 pułku.

Gdy pod wieczór przybyliśmy, majaczyły już w mrokach kontury tej czcigodnej, przepięknej siedziby szlacheckiej. Gdyśmy podjeżdżali, w niejednej duszy snuł się obraz mickiewiczowski:

»Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,  
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;  
Świeciły się z daleka pobielane ściany,  
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
Topoli, co go chronią od wichrów w jesieni«.

W głębi parku, otoczone kwietnikami i klombami, szarzeją w mroku pobielane kolumny drewnianego frontu, strzela ku niebu wieżyczka, czernieją puste oczodoły ram okiennych, których szyby uległy naciskowi fali powietrznej, wywołanej prze-

latującymi pociskami armatnimi. Wewnątrz pustka; dumają dwie kamienne, omszałe ławki, co to widziały postaci XVIII i XIX wieku, przyglądały się u bramy wjazdowej kuligom i sejmikom; dudnią buty żołnierskie, gwoździami nabijane, po kamiennej posadzce; zimnem tchnie kominiek o precudnem obramowaniu rzeźb drewnianych, antyk, jakich mało już widać...

Tylko w przybudówce, zda się rezydencyi pana rządcy, ruch. Tu grają telefony polowe: na mahoniowym stoliku blok polowy i kilka puszek konserwowych. Głodniśmy po całodziennym marszu i raczymy się jadłem, które przywieźliśmy przytrzczone w torbach u siodła.

Zbliża się północ. I dziwne poczynają się przygotowania. Bo oto ten stary pałac i ten sędziwy park i te wszystkie budowle gospodarskie wokół skazane są na zagładę. Stoją tuż przed nową linią okopów, przesłaniają na przedpolu pole obstrzału i żelazne prawo wojny dawało na nie wyrok śmierci. Więc austriacki oddział techniczny poczyną przygotowania. Dokonuje się trzebież parku; klomby rzednieją, drzewa zdają się rozstępować; między niemi ukazywać się poczynają płachty szarego nieba. Stuki siekier szybko następują jedne po drugich; ptactwo, zda się, dawniej już z tego dudniącego wciąż armatnimi strzałami miejsca uciekło przelęknione ze swoich gniazd pod mchami i korami, pod dachami stajen i stodół; w ciszy nocy ginał stary park... Raz tylko załopotowało coś w górze; to para bocianów, niby straż dokoła rodzinnego gniazda odbywając i wietrząc zbliżające się zniszczenie, zakrzyżyła nad parkiem, pałacem...

W izbie telefon skrzeczy i słychać głos, hen z pola donoszący, że wszystkie posterunki zajęte, placówki rozstawione, że akcja odbywa się ściśle wedle dyspozycji.

Wreszcie zapada cisza. Siedzimy w tym starym dworze, jakby u boku organizmu skazanego na śmierć... Coś gardło ściska...

Rozglądamy się po izbie. Na ścianie sztych: przysięga Kościuszki na rynku krakowskim i pejzaż, kredką malowany rączką panny, co w wołyńskim ustroniu w naiwnych i niezdarnych kreskach przelewała na tekturę swe dziecięce marzenia i tęsknoty... Taki dobry, swojski obrazek nocy i stawu i oczerętów i dalekich pól... Nieznana Wołynianko, Twój obrazek zdjąłem ze ściany i przechowałem u siodła i powieszę kiedyś w cichym pokoiku, by mi wyczarowywał urok tej nocy pod Wielickiem, gdyśmy czuwali we dworku tuż przed jego zagładą, w tym dworku, w którego krasie ty młodość swą prześniłaś...



Nagle dolatują nas w ciszy północy i półśnie marzeń, w jakie każdy z nas zasnuty — dźwięki nokturnu... To porucznik Wiesław Januszajtis siadł przy pianinie i w dźwiękach improwizacji ujawnia nasze myśli i nastroje. Dziwna, dziwna chwila... Tam o kilkaset kroków przed nami, stoi na wedecie legionista i zanurza się w czarną oponę nocy patrol ułański — tu ten dworek przed śmiercią — a w nim wygrywa pianino swój śpiew łabędzi... Szarpie nerwami...

Szarzeje. Z ogołoczonego już z krasy drzew i krzewów parku widać nową linię okopów, w którą wnikają szare sylwety zlu-zowanej na froncie obsady. Z oddali dolatują strzały cofają-cych się naszych oddziałów...

Wtem: na małej przestrzeni, zupełnie z gęstwiny ogołoco-nej, błysnął promyk... Kręta wstęga dymu potoczyła się... Już płomyk zamienia się w płomień, już krwawe języki oblizują ściany i odrzwia i obramienia, już gonty preżą się i skręcają i otaczają chmurami dymu, już z okien buchają kłęby i już w powietrzu chwieją się i kołyszą fale dymne...

Właśnie słońce wschodzi! Z kraju firmamentu podnosi się purpurowa kula i idzie w górę. Krwawe oko słońca prze-dziera poprzez wstęgi dymu, któremi teraz cały widnokrąg jest zasnuty... Płonie już dwór i budowle i wieś i cały firmament. Przedzierają się przez warstwicę dymu snopy ognia, a nad tem wszystkim, nad tą symfonią barw białych i szarych, fioletowych i rdzawych, purpurowych i jak sadza czarnych, unosi się groźne, skrzące iskrami oko wschodzącego słońca... A poprzez kłęby i wir, poprzez czerwień przedziła się kolumna naszej piechoty, migoczą sylwety naszych ułanów wśród tańczących na fali po-wietrza języków ognia i wirujących płacht dymu...

Przechodzimy linię drutów kolczastych i rowów strzelec-kich i wnikamy w las. Za nami rozpętany żywioł...

## 5-XI 1916 w obozie

Już w sobotę dowiedzieliśmy się... Nadeszła dyspozycja, by starszyzna legionowa udała się do Warszawy i Lublina na »uroczystość«. Jaką? Nie było powiedziane. Lecz wszyscy czuliśmy, jaka to ma być uroczystość, wszyskich serca żywiej zabiły, twarze pojaśniały, oczy rozbłysły...

Więc to jutro? Jutro...

Jutro stanie się faktem to, o czym się marzyło, przyodziejając szary mundur w Krakowie, o czym się śniło w Karpatach, na Besarabii, Wołyniu, Białorusi, o co się walczyło, męczyło, zdrowie i życie nadstawiało...

Wyjechał do Warszawy pułk. Szeptycki z szeregiem najstarszych oficerów, z deputacją żołnierską wyjechał do Lublina pułkownik Januszajtis, by tam z pułkownikiem Zielińskim, przybyłym z Dębłina i szeregiem oficerów i żołnierzy być świadkami proklamacyi.

A u nas w obozie komendę objął pułk. Haller i poczęły się przygotowania...

Wstał nad litewskim miasteczkiem szary, lecz suchy i pogodny dzień jesienny.

Nie trzeba było nikomu wydawać rozkazu, ni w oddziałach dysponować porządku i świątecznego nastroju. Święto było w duszach, więc samo przez się świątecznie wszystko się przybrało.

Około południa komenda otrzymała tekst proklamacyi.

O godz. 2 po południu oddziały poczęły ściągać na główny plac broni. Olbrzymi czworobok, okolony budynkami par-



terowymi i ogrodami, zaroił się naszymi pułkami. Pułk za pułkiem spływał w przestrzenny plac, który już widział tyle parad, tyle wojska.

Bo tu, w obozie i na tym placu stawały pułki rosyjskie w pierwszych miesiącach wojny, gdy w miasteczku litewskim, Baranowicze, w którym w listopadzie przebywaliśmy, znajdowała się wielka kwatera sztabu rosyjskiego.

Tu, w tym samym obozie i na tym samym placu, odbywał parady wielki książę Mikołaj Mikołajewicz i tu zapewne z wielkim ceremoniałem, wobec niewolniczych mas, odczytano słynny jego manifest.

Los zrządził, że na tym samym placu dziś odczytano proklamacyę, wskrzeszającą Państwo Polskie.

Rozwiały się ułudne słowa Mikołaja Mikołajewicza — ślad po nim też zagaął.

Dziś obwieszczono tu, w jego dawnej kwaterze, nie słowa, lecz — czyn.

Czworobok ustawiony. Żywy mur legionowy go stanowi. Godzina druga minut trzydzieści. Na olbrzymim placu robi się tak cicho, jakby te tysiące żywych postaci nagle znieruchomiono. Jeno poprzez przestworza leje się srebro pobudki trębacza, rozkazującej »Bacność!« Jeno hen, z oddali płyną głuche echa zarywających się w ziemię litewską granatów — jeno drzewa szumią cicho wokoło.

Na podwyższenie wstępuje brygadyer Haller. Widać, że ten zahartowany żołnierz dziś przeżywa wzruszenia, rozsadzające pierś! Stoi na podwyższeniu blady, jeno czarne oczy świecą i błyszczą.

Dzień 5 listopada od dziś — poczyna — pamiętnym dniem w historii Polski! Stało się zadość słusznym żądaniom narodu naszego, żądaniom popartym przez nasz czyn zbrojny. Obydwa mocarstwa centralne we wspólnem porozumieniu i zgodnie z postulatami, wyrażonymi przez przedstawicieli narodu naszego, ogłosiły w Warszawie następującą proklamacyę...

I poczyna swym donośnym, pełnym, do wszystkich krańców czworoboku docierającym głosem, odczytywać tekst. Padają ważne i głębokie słowa na dusze i serca, owiewają ciepłem rozkoszy i szczęścia tych kilka tysięcy postaci, co się za Polskę bili.

»...Państwo samodzielne... dziedziczna monarchia... własna armia... wolne, szczęśliwe i własnem narodowem życiem cieszące się państwo...«

Każde słowo to lotek skrzydła unoszącego naszą wyobraźnię. Stoimy tu na »Baczość« w ordynku żołnierskim, ani muszkiet drgnie, lecz dusza ulatuje hen, okiem duszy widzimy Ją zmartwychwstającą... A o kilkanaście kilometrów Świtez i Nowogródek. I zapewne tam dziś słyszano dzwonięcie naszych serc w ten rytm, w który już uderzał Adam Mickiewicz, gdy widział Polskę rozpiętą na krzyżu, i przepowiadał Jej Zmartwychwstanie. Dziś nie tylko tu, ale i w całej Polsce słyszeliście bicie naszych serc żołnierskich w chwili, gdy nam ogłoszono Niepodległość—choć staliśmy w ciszy i znieruchomieniu na »Baczość«, jeno słuchem łowiąc słowa i w sanktuaryach duszy ryjąc je złotym rylcem...

Dobiega tekst proklamacyi końca: »Wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnem życiem cieszącego się Państwa!«.

W tej chwili pułk. Haller dobywa szabli.

W mig setki szabel zabłysło, wykwitł las błyszczący.

Stało się to tak spontanicznie, tak nagle, tak oslepiająco—iż jakby zamroczyło. W cieniach kładących się już mroków, w zwielnioną opończę przedwieczornych mgieł jesiennych wybłysnęło paręset szabel polskich.

»Niech żyje niepodległe Państwo Polskie!« — krzyknął wznosząc szablę pod niebo komendant. Załopotowało kilkaset kling, zasrebrzyło się powietrze — i kilka tysięcy głosów rzuciło trzykroć: »Niech żyje!« i przy wyciągniętej szabli ślubowało to, co pułk. Haller zawarł w słowa:

»Żołnierzu Polski! Bądź więc zawsze wiernym swej ojczyźnie, bądź niezłomnym i nieugiętym jak stal, w ogniu dwuletniej wojny hartowny. A gdy dziękczynne »Te Deum« zabrzmie od ołtarza, ukorzymy się przed Boską Opatrznością, która nas wiodła do wolności, ślubując wierność Bogu i Polsce!

Trwajmy w żołnierskich cnotach »Virtutis militaris!«

I nagle cały czworobok przypadł do ziemi, pochyliły się czoła i od ołtarza popłynęło »Te Deum« i taka rzewność padła na dusze, że coś za gardło ścisnęło i jakby szpilkami po twarzy kłuło i oczy wilżyło. I szły po przestworzach, po tych litewskich krajach — po tym szlaku wojen napoleońskich, po lasach i ugorach, przez które tylekroć szła nawała i tylekroć nadzieje zawodziły — pienia korne i podniosłe, pienia dziękczynne.

A potem nagle ze wszech stron placu ozwały się dźwięki tylekroć słyszane od wczesnej młodości — a dziś inne całkiem



nabierające znaczenie, dźwięki »Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy«. Pięć muzyk legionowych brzmi oddźwiękami hymnu, który tyle generacji polskich utrzymywał w wierze i nadziei.

Przebrzmiały dźwięki pieśni, gdy w środek czworoboku wstępuje stary generał niemiecki, komendant całego okręgu wojskowego, który w pełnej paradzie i z liczną przybył swiątą. »Żołnierze polscy — powiada — przyjmijcie gratulacje, iżście dnia tego dożyli. Z krwi waszej i znoju powstał dzień dzisiejszy, wiemy bowiem, czem są Legiony i ich chlubną działalność historyk wojny światowej złotem zapisze zgłoskami. Lecz, by to, co dziś jest na papierze, przetrwać mogło po wieczne czasy trzeba trzymać silnie to, co mamy, wręga nie wpuścić. I to Wasze zadanie na przyszłość. Witam Was jako sprzymierzoną armię i oby Biały Orzeł wraz z Czarnym Orłem i Dwugłowym Orłem swobodnie ulecieć mogły nad trzema wolnymi państwami!«

Ostatni akt uroczystości: defilada.

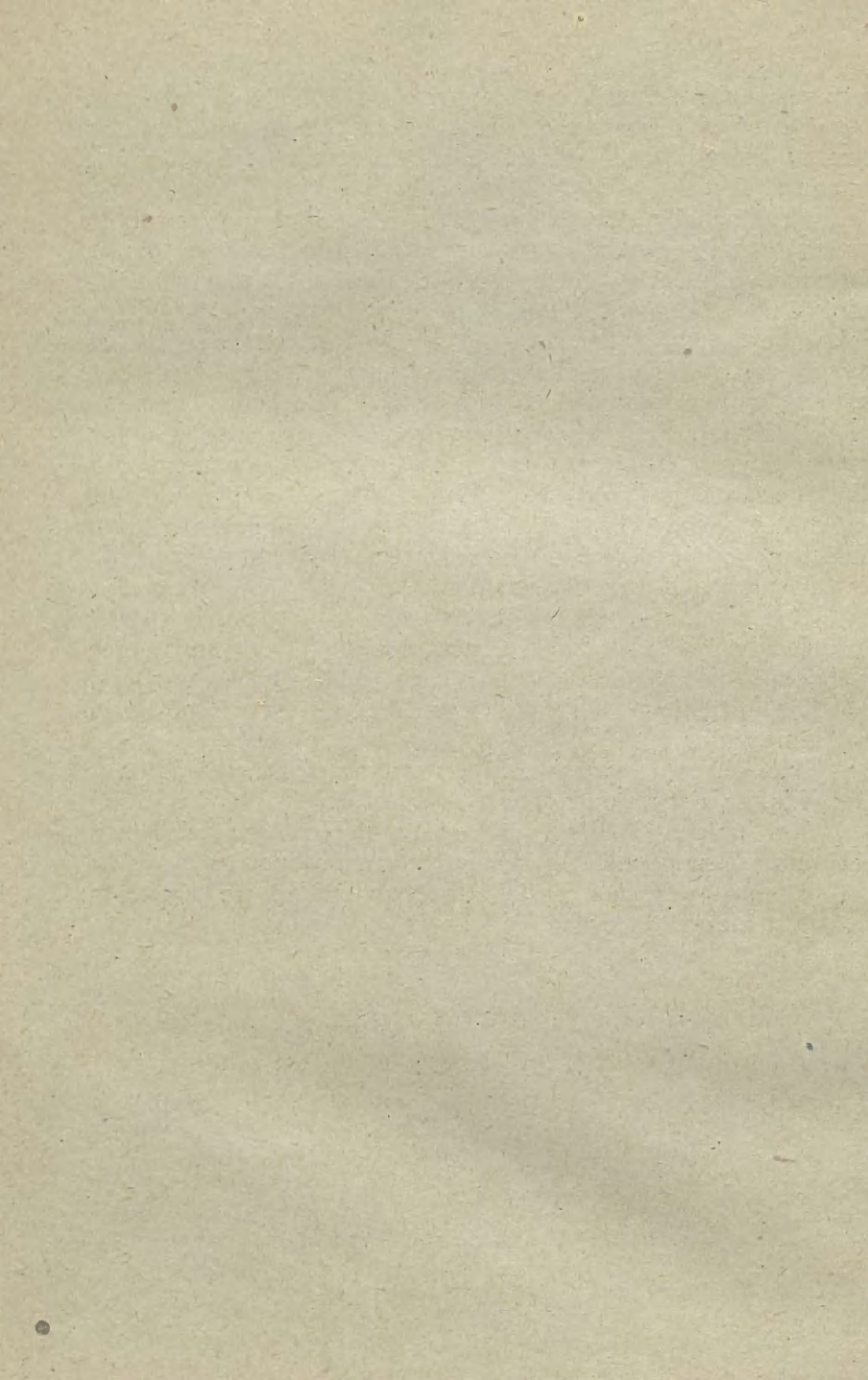
Sunie kolumna za kolumną. Idą ci, co poszli pierwsi w kieleckie i walczyli pod Krzywopłotami i Konarami i przewędrowali całe Królestwo, idą ci, co stale u kresów walczyli i w Karpatach i na Besarabii i na Wołyniu sławę polskiego oręża mnożyli.

Nic ich nie zmogło. Ani z zewnątrz, ani z wewnątrz,

Idą, aż ziemia dudni!

I to dla nas żołnierzy było najgodniejszym zakończeniem obchodu. Ten pochód, tryskający siłą, mocą postawy.

Duma w sercach rosła i przeświadczenie się uкрепиło:  
Jest z czem zaczynać!





## SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Wyjazd II Brygady z Krakowa . . . . .	str.	1
2. Rok w polu . . . . .	,	5
3. Pismo humorystyczne w okopach . . . . .	„	10
4. Militaryzacja wyobraźni . . . . .	„	15
5. Ordynansi . . . . .	„	21
6. Przybłędy . . . . .	„	26
7. Sanitariusze . . . . .	„	29
8. Z kresów na kresy . . . . .	„	35
9. Z walk o Styr . . . . .	„	39
10. Leże zimowe . . . . .	„	47
11. Śpiewający las . . . . .	„	56
12. Dzień patrona Żegoty . . . . .	„	58
13. Jasełka . . . . .	„	63
14. Między Styrem a Stochodem . . . . .	„	67
15. Noc w Wielicku . . . . .	„	89
16. 5-XI 1916 w obozie . . . . .	„	94







